

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Gościnność czy wyrachowanie?

Po dłuższej przerwie, którą cechował zupełny zastój i bezruch w stosunkach polsko-litewskich, d. 18 lipca nastąpiło, jeżeli tak się można wyrazić, wznowienie kroków nieprzyjacielskich. W dniu tym prezes ministrów litewskich prof. Voldemaras przesłał sekretarzowi generalnemu Ligi Narodów notę, zwracającą uwagę na możliwość niebezpiecznych incydentów pogranicznych, a to w wyniku popierania przez rząd polski akcji emigrantów litewskich, mającej na celu obalenie obecnego rządu litewskiego za pomocą zbrojnych wystąpień i zamachów terrorystycznych. Nota z naciskiem podkreśla fakty znalezienia u sprawców zamachów bomb, których polskie pochodzenie stwierdziła ekspertyza oraz że w piśmie „Pirmyn”, wychodzącym w Wilnie, a subsydjowanem przez rząd polski otwarcie się zaleca stosowanie metod terrorystycznych w stosunku do przedstawicieli rządu litewskiego.

Nota powyższa zakomunikowana została przez sekretariat generalny rządowi polskiemu, który w d. 2 sierpnia nadesłał na nią odpowiedź, zawierającą kategoryczne twierdzenie, że zarzuty rządu litewskiego są całkowicie urojone i bezpodstawne, że emigranci litewscy nie nadużywają prawa azylu, które im zostało przyznane, że liczba emigrantów wzrasta wskutek represyj, stosowanych przez obecny rząd litewski względem opozycji i że wzrost ten nie może być uważany za szkodliwy dla stworzenia stosunków pokojowych pomiędzy Polską a Litwą, gdyż stanowi on jedyny środek, za pomocą którego naród litewski, odgradzony od Polski przez nieprzekraczalne zapory, ma sposob-

ność przekonania się o pokojowym i pojedynczym stanowisku Polski. Nota polska nie odpiera konkretnych zarzutów, wymienionych w nocie litewskiej, jako gołosłownych i protestuje przeciwko usiłowaniu przypisania rządowi polskiemu odpowiedzialności za krwawe zarządzenia, stosowane przez rząd litewski do swych przeciwników politycznych.

Obie te noty, po zbadaniu ich przez przewodniczącego Rady Ligi Narodów Adatci'ego i referenta do spraw polsko-litewskich Quinones'a de Leon zostały przekazane przez sekretariat generalny Radzie Ligi, która zapewne rozpatrzy sprawę na sesji wrześniowej, w rezultacie czego nastąpi powzięcie przez nią jeszcze jednej dyplomatycznej uchwały, wzywającej obie strony do unikania wszystkiego, co by mogło obecną sytuację zaostrzyć.

Niema już dziś chyba tak naiwnych, którzyby wierzyli w skuteczność interwencji Ligi Narodów w zatargu polsko-litewskim. Wątpić można, aby i Voldemaras miał jakiegokolwiek pod tym względem złudzenia. Słusznie się tedy wydaje przypuszczenie prasy polskiej, że celem noty litewskiej jest nie tyle nadzieja na interwencję Ligi Narodów, ile chęć usprawiedliwienia tą drogą wobec opinii europejskiej surowego regime'u, jaki panuje w republice litewskiej od czasu przewrotu grudniowego. Żałować więc wypada, że rząd polski w swej nocie poprzestał na ogólnikowym jedynie zaprzeczeniu, a nie uważał za stosowne obalić oskarżenia o popieranie akcji „pleczkajtisowców” za pomocą argumentów bardziej rzeczowych.

Wprawdzie p. Testis w „Kurjerze Wileńskim” utrzymuje, że „trzeba mieć albo dużo bezczelności, albo ujemne wyobrażenie o inteligencji sekretariatu i członków Ligi Narodów,

aby poważnie rozprawić w nocy o tem, czy w Polsce pochwała się, czy też nie akty terrorystyczne opozycjonistów litewskich”, ale jeżeli chodzi nie o *formalną* stronę sprawy, t. j. spowodowanie przez Ligę Narodów takich lub innych kroków, przewidzianych w zawilej jej procedurze, lecz o stronę *moralną*, o wrażenie wśród członków Ligi Narodów i szerokich kół politycznych, mających z nią styczność, to treść noty litewskiej bynajmniej nie razi ani naiwnością ani nieprawdopodobieństwem.

Zresztą nawet p. Testis chociaż z oburzeniem odpięra zarzut współdziałania władz polskich z terrorystami litewskimi, a tembardziej organizowania przez nie zamachów, nie widzi nic zdrożnego w stanowisku tolerancyjnym rządu polskiego w stosunku do usiłowań emigracji litewskiej obalenia dyktatury Voldemarasa środkami gwałtownymi, dając wyraźnie do zrozumienia, że wobec braku wszelkich stosunków z Litwą Polska czuje się wolną od jakichkolwiek względem niej zobowiązań i że tylko nawiązanie normalnych stosunków może wpłynąć na zmianę jej postępowania.

Odrzucając więc kwestję, czy polityce polskiej można coś zarzucić z punktu widzenia obowiązujących obecnie norm międzynarodowych, która to kwestja może interesować jedynie kazuistów dyplomatycznych, zmuszonych wysilać swój spryt, by zaszachować przeciwnika na forum Ligi Narodów, stajemy wobec zagadnienia, mającego o wiele większe znaczenie dla uregulowania zatargu polsko-litewskiego w obecnym jego stadium, a mianowicie, czy akcja „pleczkajtisowców” jest dla polskiej racji stanu obojętna,

czy też przeciwnie pożądana i przychylnie przez nią traktowana. Innemi słowy, czy rząd polski udzielając prawa azylu emigracji litewskiej kieruje się wyłącznie pobudkami humanitarnymi, czy też ma przytem i widoki polityczne na celu?

Z dotychczasowego stanowiska prasy polskiej sądząc należałoby przypuszczać, że Polsce bardzo zależy na obaleniu dyktatury Voldemarasa, który w opinii polskiej powszechnie uchodzi za największego wroga porozumienia polsko-litewskiego i reprezentanta kierunku nieprzejednanego w sporze o Wilno. Nawet kiedyś minister Zaleski w wywiadzie z korespondentem „Petit Parisien” niedwuznacznie taki pogląd wypowiedział. Tymczasem „Głos Prawdy”, organ najbardziej chyba miarodajny dla polityki obecnego rządu polskiego, wystąpił z prawdziwą rewelacją, pisząc z powodu noty litewskiej:

„P. Waldemaras mocno się myli, jeśli mniema, że Polsce jego osoba jest nie na rękę, że Polska pragnie, aby p. Waldemaras możliwie szybko został pozbawiony władzy. Właśnie, że tak nie jest. Polska racja stanu w stosunku do Litwy ma znacznie dalsze i poważniejsze widoki, aniżeli się to p. Waldemarasowi wydaje.

I z punktu widzenia tych planów p. Waldemaras ze swoją obłąkaną polityką jest najlepszym sojusznikiem Polski — bowiem wbrew swej woli oddaje nam nieocenione usługi”...

Oryginalne to zapatrywanie „Głos Prawdy” motywuje w ten sposób, że ponieważ Voldemaras, co ma być niezbitcie stwierdzonem, jest biernym narzędziem w ręku „Stahlhelmu” z Prus Wschodnich, który zorganizował nawet prze-

J. Vaižgantas.

Z cyklu „Pragedruliai”.

Pień Czarnego.

Pień Czarnego jest najsłynniejszym miejscem w całej szerokiej okolicy Wadowa. Mimo niego prowadzi przez błota jedyna wąska dróżka, która rozgałęzia się potem do kilku wsi i kilkunastu zaścianków.

I te niewielkie wsie, i te małe zaścianki zaszyły się, niby lisy, w takie bezdroża, że obcy nie miałby tu czego szukać, gdyby nie Pień Czarnego.

Skręciwszy z gościńca — obcy ludzie o parę wiorst już pytają o drogę. Jeśli to będzie w dzień — usłyszą spokojną, stanowczą odpowiedź:

— Mimo Pnia Czarnego — prosto, prosto.

A będzie to tak wyraźne, bez żadnej wątpliwości, że uradowany podróżny nie podziękuje nawet za wskazówkę: poruszy tylko lejcami, dając znak koniowi, aby czempredzej dobiegł do owego Pnia Czarnego, skąd już prosto, prosto!

Podróżny puszcza się w tę stronę, którą mu wskazał zapytany. Nikomu jeszcze nie przyszło na myśl dowiedzieć się:

— Cóż to za Pień Czarnego?

Wszystkim było jasne, że sam i bez tego zobaczy, sam odgadnie, że to nie co innego, tylko Pień Czarnego.

I nie zawiedzie się.

Zrób z dwóch palców gałąź rozdwojoną: w kierunku obu palców, na prawo i lewo ciągną się doliny, bagna, trzęsawiska, rojsty; przez środek doliny płynie wąską wstęgą rzeczka; w samym rozgałęzieniu, przebywszy wąski, na jednokonny wóz obliczony mostek — napotkasz pagórek, przyczepiony do góry, jak brodawka do nosa, jakby umyślnie, abyś go zobaczył. I ujrzysz go zdaleka, gdyś tylko zaczął spuszczać się z góry w dolinę. To właśnie będzie — Pień Czarnego.

Jeśli trzeba zjechać na stronę, to zapytany o drogę odrzeknie również spokojnie i stanowczo:

— Od Pnia Czarnego...

Nie dokończy, a jednak nie potrzebujesz więcej słów marnować, ani fajki po raz drugi z zębów wybierać. Dostatecznie będzie śledzić za ręką wskazującego.

Jeśli zapytasz o drogę po zachodzie słońca — innym już głosem odpowiedzą ci:

— Mimo Pnia Czarnego...

W głosie pytanego poczujesz wątpliwości. Ręki

wrót grudniowy (!), więc jego zależność od Berlina musi doprowadzić w końcu naród litewski do opamiętania się i zerwania z orientacją antypolską.

„Dziś p. Waldemar — pisze dosłownie „Głos Prawdy” — wysługujący się Niemcom jest zniechęcony przez całe społeczeństwo litewskie, które widzi jakie rezultaty dała polityka proniemiecka. I dlatego p. Waldemar jest naszym sojusznikiem — bo swoją polityką wysługiwania się Niemcom otwiera na Litwie oczy ludziom najbardziej zaślepionym i najbardziej wrogo usposobionym wobec Polski. Ten, kto dziś na Litwie jest przeciwko rządowi p. Waldemara — jest przeciwko wpływom niemieckim. A o to nam najwięcej chodzi”.

Trzeba przyznać, że koncepcja powyższa jest niezmiernie misterna. Szkoda, że ją psuje sam autor, w innym miejscu swego artykułu wyznając ze smutkiem, że „dotychczas wpływy niemieckie w Kownie są przemożne, że wszystkie stronnictwa litewskie z nienawiści do Polski uczyniły fundament swej polityki zagranicznej”. Ale jeżeli „Głos Prawdy” wierzy w to, co drukuje i jest święcie przekonany, że Voldemaras jest dziś zniechęcony przez całe społeczeństwo litewskie, to trudno zrozumieć, jaką korzyść może przynieść Polsce dalsze sprawowanie przez rządów? Rola jego jest w takim razie już skończona, kompromitacja doszczętna i dalsze pozostawanie jego u władzy niepotrzebnie tylko przedłuża nienormalny stan obecny w stosunkach polsko-litewskich. Logicznie rozumując nie można dojść do innego wniosku, niż tego, że w interesie Polski leży właśnie jak-

najszybsze usunięcie Voldemara z widowni politycznej.

I niewątpliwie tego pragną w istocie czynnicy rządowe w Polsce, chociaż wychodzą z innych zgoła przesłanek, niż naczelny organ sanacji. Rząd polski doskonale wie, że Voldemaras nie jest wcale tak niepopularny w swym społeczeństwie, jak to przedstawia „Głos Prawdy”, wie też dobrze, że opozycja przeciwko dyktatorowi Litwy bardzo niewiele ma wspólnego z jego rzekomym germanofilstwem. Przypuszczać należy, że rząd polski jest dokładnie poinformowany o istotnym stanie rzeczy, o nastrojach wśród ogółu ludności litewskiej i o tem, że kwestja wileńska nie została wynaleziona w Berlinie. Jeżeli zaś kierownicy polityki polskiej chętnieby widzieli uwieńczone powodzeniem usiłowania emigracji litewskiej obalenia dyktatury Voldemara, to dlatego, że mają nadzieję, iż ewentualni sprawcy przewrotu będą bardziej powolni i ulegli wobec Warszawy, niż obecny rząd tautininków i poprzednie rządy krikszcioniów i laudininków.

Być może tą drogą rząd polski ma nadzieję również zmusić rząd litewski do nawiązania normalnych stosunków, o czem napomyka p. Testis.

Czy te rachuby mają jakąkolwiek wartość realną — to już inna kwestja. Niejednokrotnie wykazywaliśmy bezzasadność tego rodzaju polityki. Nie ulega jednakże wątpliwości, że szeroka gościnność, z jakiej korzystają emigranci litewscy w Polsce, nie jest spowodowana wyłącznie względami humanitarnymi i pragnieniem

nie wyciągnie, nie nakreśli nią kierunku, chyba głową kiwnie w tę stronę. I ty sam poczujesz niepokój, i twój koń poczuje: pójdzie niechętnie i ty nie będziesz pewnym, czy trafisz.

Jeśli spytasz się pociemku, zapytany rzuci krótko:

— Mimo Czarnego...

Nic więcej. I głową nie kiwnie, lecz odejdzie na bok, jak od człowieka, z którym niema co gadać w tem życiu.

I tobie serce upadnie niżej kolan. Jak chcesz, to jedź zdrów, tylko drogi za Pniem Czarnego nie znajdziesz.

I nie omyli się.

Cóż więc jest ten Pień Czarnego? Czy miejsce takie straszne, czy podróżnym fgle kto płata, czy nawet życiu ich grozi?

Nikt nie słyszał, aby tam się jaki wypadek zdarzył.

Prawda, że co wieczór, gdy cień góry padnie w poprzek doliny — Czarny znajduje się na mostku. Wszyscy to wiedzą i widzą, i nikt się tego nie boi. To jest — boją się, jakże nie bać się! — ale tylko przez tę chwilę, dopóki się nie przejdzie mostku. Przeszli — i już się nie boją. Czarny nie zaczepia nikogo.

Gdy się zbliżysz — skoczy z mostku i wędruj sobie zdrów. Przejechałeś — a on znów na mostku.

Pijani probują niekiedy przemawiać do Czarnego. Tylko on nikomu jeszcze nie odpowiedział, ani się rozgniewał. Rzadko ściągnie kogo za pole z mostku do rzeczki, a sam skoczy na jego miejsce. Nie chciał wędrować suchą drogą — idź że teraz mokra!.. Tylko woda tam nie głęboka — nie utoniesz. Ściągnięty pobrodzi, pobrodzi, i wylezie na brzeg, nie klnąc nawet Czarnego; raczej żartuje z siebie, że bez potrzeby zaczepił niewinnego.

Tak przyjaźniły się z Czarnym pokolenia ludzi. Nam się zdawało, że ludzie się zmieniają — dla Czarnego jednak byli zawsze jednakowi. Tylko jeden chodził obrośnięty, drugi ogolony. Jak te pagórki: dawniej były zarosłe, teraz łyse, a wciąż te same.

Trzema odnogami ciągną się od Czarnego, głębokie, choć nie szerokie doliny. Na końcu dwóch z nich błyszczą wielkie jeziora, odwieczni przyjaciele i sąsiedzi Czarnego. Leżą one o kilka kilometrów, ale to nic nie znaczy. Co wieczór cienie Pnia pełzną zwolna aż do „oczku”; „oka” znowu przepływają mgłami do Czarnego Pnia i przez całą noc trzymają się w objęciu.

Nie wiele mówią. Błota tylko dyszą i syczą.

unaocznienia im „istotnego stosunku narodu polskiego do narodu litewskiego”.

Tak lub owak, nawet gdyby wszystkie nasze przypuszczenia były błędne, jedno nie ulega wątpliwości: rząd litewski jest głęboko przeświadczony, że akcja „pleczkajtisowców” cieszy się opieką i poparciem rządu polskiego, a rząd polski nic nie czyni, by przekonać zarówno Kowno, jak Europę, że tak nie jest. A czyż trzeba dowodzić, że dla oczyszczenia i uzdrowienia stosunków polsko-litewskich o wiele jest ważniejszy czynnik psychologiczny i moralny, niż takie lub inne wyroki trybunału genewskiego?

Izba Przemysłowo-Handlowa w Wilnie.

Nad instytucją świeżo powstałej Izby Przemysłowo-Handlowej w Wilnie zawisło jakieś fatum. Nie może jej praca ruszyć z miejsca, jakby tego życzyć należało.

Jakie są tego przyczyny i jakie horoskopy na przyszłość?

To zależy przede wszystkim od jej organizacji oraz ludzi, którzy za jej prowadzenie wzięli odpowiedzialność.

Na gruncie wileńskim przymusowe organizacje samorządu gospodarczego są nowością, jak zresztą, na całym obszarze b. zaboru rosyjskiego. A trzeba stwierdzić, że jest to inowacja pożyteczna, powiedzmy więcej — w obecnych warunkach naszego kraju, w okresie rozpanoszonego centralizmu państwowego — wprost niezbędną.

Jest to forma, w każdym razie, samorządu na pewnym odcinku życia społecznego — mianowicie na części frontu gospodarczego. Łącznie z ukonstytuowanymi niedawno izbami rzemieślniczymi oraz

mającymi powstać w nie nazbyt pono odległej przyszłości izbami rolniczymi mają izby gospodarcze objąć formalnie i ustawowo zabezpieczone — a przymusowe dla zrzeszonych — przedstawicielstwo wszelkich rodzajów działalności wytwórczej. Reprezentacja wszelkich typów izb ma w przyszłości stworzyć ów przyszły, nawet w konstytucji przewidziany parlament gospodarczy pod nazwą Naczelnej Izby Gospodarczej. Gdy do niej zostaną z czasem dołączone przedstawicielstwa Izby Pracy, dotychczas tylko przez socjalistów wysuwane jako projekt reprezentacji interesów pracy najemnej — wówczas obejmie ona rzeczywiście całokształt interesów gospodarczych państwa i to na podstawie przedstawicielstwa terytorjalnego. Sejm zostanie odciążony od zarzutów niekompetencji fachowej, gdyż w tej Naczelnej Izbie Gospodarczej wszelkie zawody obroną legalną swych interesów znaleźć muszą.

Dla nas ma ta sprawa znaczenie jeszcze o wiele wyższe, a szczególnie w dziedzinie przemysłu i handlu. Istnieją i dziś poglądy w tak zwanych „sferach gospodarczych”, że związki branżowe (drzewne, chemiczne, tkackie, bławatne, papiernicze, cukrownicze i t. p. i t. p.) są najbardziej wskazaną formą obrony interesów zawodowych. Takie związki, przyznać to trzeba, a szczególnie ich centrala znana pod nazwą „Lewiatana” w Warszawie umieją rzeczywiście doskonale rozciągać swe wpływy u rządu i wyjednywać różne ulgi dla swych zrzeszonych. Ale jako że ci zrzeszeni w swej najpoważniejszej gatunkowej wadze obejmują okręgi o intensywnym życiu gospodarczym — Śląsk, Łódź, Zagłębie węglowe, Poznańskie, Warszawę i częściowo Małopolskę — przeto interesy sfer zawodowo-gospodarczych naszego kraju znajdują tam zwykle mało co więcej zrozumienia i obrony, jak i u władz centralnych.

Pamiętajmy, że ingerencja państwa nowoczesnego, a tembardziej takiego jak Polska, która od czasu do czasu wykazuje bardziej czy mniej świadome tendencje do etatyzmu — w życie gospodarcze jest coraz to silniej zaznaczana i odczuwana. Kwestje tariff kolejowych, cel i traktatów międzynarodowych

Rzadko ptak się odezwie a głos ten rozchodzi się o 10 kilometrów. Najczęściej Pień Czarnego ze swymi „oczami” — Bezrogiem i Dwurogiem tęsknie spoglądają, spowite w mgły. Nie z bólu serca, tylko ze zwyczaju. Jeśli płaczą, to cicho — kroplami rosy.

Tak upływają całe wieki w tej krainie litewskiej. Przed tysiącem lat — „oka” były daleko większe. Jeszcze dawniej łączyły się ze sobą, tworząc jedno jezioro. Tylko Walulis — mówią ludzie — oddzielił Dwurogie od Bezrogiego, wyznaczając każdemu jego miejsce.

Nawet sam Czarny nie zna całej prawdy, chociaż istnieje drugi tysiąc lat. Widział on przez setki lat, jak tu Straublis wciąż pił wodę albo też różnobarwnymi kroplami ozdabiał drogę miłości Łaумы z ziemią Pił, pił wodę, sypał, sypał krople diamentów od nieba aż do ziemi — i oto utworzyło się bagno. Reszta wód usunęła się na rozkaz Walulisa, wsiąkla w ziemię, gdzie wyłubiła sobie drogi, albo też zadrzemała na miejscu, okryta grubym kożuchem mchu i torfu.

Działy się wielkie rzeczy, tylko, ponieważ powoli, więc nieznanie. Dawniej, całą ziemią podzielili się dwaj władcy: Woda i Roślinność; zwierzęta

i ludzie snuli się po puszczech, jak ryby po wodzie nie troszcząc się o inne żywy.

Pewnego razu uradziły Woda z Gliną uczynić króla roślin i stworzyły Dąb na brzegu góry nad źródłem. Pożywienia nie brakło: Wilgoć i Ciepło, dwie wróżki (Łaумы) życia — strzegły Królewicza i rósł — twardy. Śmiało drążył serce góry korzeniami i ssal życie. Coraz szerzej rozpuszczał gałęzie pijąc Powietrze i Światło, dwie inne Łaумы. Dla innych roślin nic dokoła nie zostało.

Dąb był praktyczny. Nie wystrzelił do góry, by rozdrzeć obłoki. Po co koniecznie w górę, jeśli tak samo można i na boki?

I owinął się Dąb wiankiem twardych, grubych gałęzi prawie od samej ziemi. I nakrył się dachem gęstych, zielonych liści. A korzenie coraz głębiej lały w ziemię, aby całemu drzewu dostarczyć żywności.

Owładnął całym brzegiem góry: zapuścił ciekawie gałęzie na drugą stronę rzeczki i stał się wielki, gruby, rozgałęziony — Król.

Potężnemu przystoi być jeszcze potężniejszym. Rósł więc wciąż, a pień i gałęzie grubiały. I tak przez sto, trzysta, pięćset, siedemset lat: zwolna, ale bez ustanku, twardo, jakby postanowił spełniać pracę

podatków, komunikacji wogóle, prawodawstwa socjalnego, kredytów i t. p. ma znaczenie pierwszorzędne nie tylko dla rozwoju, ale wprost dla podstaw bytu przemysłu, handlu, rzemiosł, a nieraz i rolnictwa.

A w tej dziedzinie ziemie litewsko-ruskie były istotnie po macoszemu traktowane. Jeśli doniedawna taryfy różniczkowe tak były skonstruowane, że stawki spadały do 600 klm., a podwyższały się powyżej tej przestrzeni, przez co węgiel, sól, manufaktura, żelazo i t. p. prowadzane do nas z zagłębia węglowego, Śląska, Gdańska i t. p. opłacały podwyższoną taryfę, jeśli Wilno co do kategorii świadectw handlowych było przyrównane do Łodzi, jeśli w dziedzinie podatku, powiedzmy majątkowego obowiązywały normy zachodnich dzielnic państwa, które wojny nie widziały, a cały niemal ciężar wojennej odbudowy w postaci daniny lasowej obciążał wyłącznie pomiatane „kresy” — to są to wszystko dowody, jak mało u władz centralnych liczone się i rozumiano wogóle potrzeby gospodarcze naszego kraju.

Jeśli Izby Przemysłowo-Handlowe w Łodzi czy na Śląsku mają być ustawowo zalegalizowanym przedstawicielstwem interesów wielkiego przemysłu i handlu, który przez swe związki i tak miał głos poważny — to zadaniem ich *tam* będzie wyłącznie obrona tych interesów.

U nas zaś Izba Wileńska winna być pionierem w tej dziedzinie, instytucją stwarzającą podstawy, umożliwiające rozwój gospodarczy kraju — a nieraz, jak np. w przemyśle i handlu Iniańskim — torującą drogi dla jego powstania i racjonalizacji.

Izba Wileńska obejmuje 4 województwa — Wilno, Nowogródek, Białystok i Polesie — pod względem więc zasięgu jest największą w państwie polskim. Po pewnym wahaniu, czy nie umieścić jej w Białymstoku, Wilno wzięło górę — i fakt to dla całego kraju ze wszech miar dodatni.

Warunkiem jednak owocnej działalności jej jest, by ci, co do jej prowadzenia wzięli na siebie odpowiedzialność, rozumieli dobrze, że praca powinna iść zgodnie, uwzględniając wszelkie czynniki składowe. Pierwszy, zasadniczy konflikt możliwy, t. j. narodo-

wościowy został szczęśliwie przewyciężony na samym początku. Ustalono zgodnie parytet narodościowy w Izbie — składającej się dziś z 36 chrześcijan i 36 żydów.

Nierozwiązany został natomiast drugi zasadniczy konflikt wewnętrzny między przemysłem i handlem. Pochodzi to z trzech błędów w organizacji Izby Wileńskiej popełnionych: liczbowej przewagi radców handlowych, jednostronnej przewagi związków i stowarzyszeń gospodarczych przy organizacji Izby, wreszcie niedostatecznego uwzględnienia w pracy sił rdzennie — miejscowych. Są to główne przyczyny, z powodu których praca Izby nie może dotychczas owocnie ruszyć z miejsca.

We wszystkich izbach w Polsce istnieje parytet radców Sekcji Przemysłowej i Handlowej, z wyjątkiem sosnowieckiej, gdzie jest przewaga przemysłu — i wileńskiej, gdzie dla przeciwstawienia dano przewagę handlu. Jest to błąd zasadniczy, gdyż przy ilości 30 radców Izby od przemysłu — wobec 42 od handlu — daje to taką przewagę temu ostatniemu, iż przedstawiciele handlu czują się panami położenia w stosunku do przemysłu, kierując się hasłem: „szapkami zakidajem”. Kierownictwo sfer handlowych polskich zrozumiało sprawę w ten sposób, że przy wciągnięciu do podziału wpływów sfer żydowskich mogą w Izbie dyktować warunki, zapominając o zasadzie, że w tego rodzaju instytucji nie drogą supremacji „przeciwnika” (?) iść należy, a drogą harmonijnej współpracy wszystkich zainteresowanych dla dobra kraju. Zapomniano przytem, że jednostka gospodarcza tak wybitna jak Białystok, jedyne miejsce w naszym kraju, gdzie istnieje wielki przemysł, w swej większości znalazła przedstawicielstwo właśnie w sekcji przemysłowej. Posunięto się do tego, że na walnem zebraniu nie wpuszczono do komisji Izby przedstawicieli Białegostoku, z wyjątkiem kilku osób, którym swoje miejsce odstąpił wileński przemysł chrześcijański.

Tego rodzaju skandal stał się możliwy dzięki drugiemu błędowi popełnionemu przy organizacji Izby, a mianowicie dzięki temu, że komisja porozu-

stuleci i dojsć do takiej potęgi, jak nikt inny. Wszyscy oddawna chęć jego pojęli i mówili: — Nie tylko Królem Drzew — Dębem, lecz i Królem wszystkich Dębów — Czarnym, drzewem bogów.

I poczęto go czcić bałwochwalczo.

Pokolenia znały ustronie Wadowa, gdzie pod drzewem zbudowany był ołtarz z kamieni, gdzie stał bożek, wyciosany z drzewa, gdzie przebywał stróż ognia, wieszczbiarz i wajdelota, przez Walulisa nauczony. Przez setki lat szli tu ludzie modlić się i czarów doświadczać; nie tylko dla tego, że tu wskazywano — prosto, na prawo na lewo.

Słynał Czarny, zbierał uczucia i łzy ludzkie, zaprawił się na nich i one nie zginęły. I nie zginą — ludzie czują to teraz.

Przybyli umyślnie odwiedzić Czarnego wspinali, świecący złotem kapłani, wajdeloci innego Boga. Obejrzejli go gniewnie i postanowili — ściąć.

Lecz łatwiej postanowić niż dokonać: nie było narzędzia, któreby mogło ściąć pień Czarnego. Więc zaprzestali; zburzyli tylko ołtarz, wyrzucili posąg bożka a na jego miejsce powiesili kapliczkę z Chrystusem frasobliwym i rzekli:

— Teraz miejsce to poświęcone prawdziwemu Bogu. Jemu tylko służyć będziecie!

Ani Czarny, ani ludzie nie widzieli w tem różnicy. Inny, to inny! I w dalszym ciągu czcili i kochali Czarnego. Na zburzony ołtarz rzucali wciąż resztki mówiąc:

— Co mnie nie zdatne — może zda się tobie!

Wieszali szmatki na gałęziach dębu, zwisających ku rzece, rzucali pieniążki do źródła; brali zeń wodę do mycia oczu, korą dębową nacierali bolące zęby. Ludzie naokoło Czarnego zostali takimi, jak i przed tem.

Setkami płynęły lata niepowstrzymaną falą i poczęło się zdawać Czarnemu, że on będzie może Rośliną Wieczną, boską, która nigdy nie kielkowała i nie rosła, tylko zawsze królowała, zawsze wskazywała drogę, zawsze uczucia ludzkie zbierała...

Mineło równo 700 lat. Aż jeden z korzeni rzekł:

— Dość! Tyle nałaziwszy się w twardej glinie, tyle napiwszy się zimnej wilgoci, aby ciebie, Królu, wyżywić — czas byłby zadrzemać...

Czarny — wiedział dobrze, że dla natury odpoczynku niema. Kto zatrzymuje się — ten woła śmierci. Kto raz zadrzemał — obudzić się nie może. Nie zatrwożył się jednak.

— Siedemset lat rosłem w górę, wzmacniałem się; siedemset lat będę schodził w dół, słabnąc. Gdy nie pamiętam początku — nie ujrzę i końca. Jam —

miewawcza, wyłoniona przez związki przemysłowe i handlowe dla ustalenia zasad wprowadzenia w życie parytetu narodowościowego — uzyskała nominację od ministra Przemysłu i Handlu jako „Tymczasowa Komisja Doradcza” — czyli jako jednostka organizująca przyszłą Izbę. Zamieniła się ona dosłownie w komisję radzącą — a przewagę miał w niej handel, gdyż prezes i sekretarz „Stowarzyszenia Kupców Chrześcijań” zatrzymali te same naczelne stanowiska w komisji — a potem w tymże charakterze przeszli do Izby, co było zgóry ustalone. Wedle ustawy $\frac{2}{5}$ Izby (24 radców) wybiera ogół zainteresowanych, ale to przygotowała Komisja Porozumiewawcza, jako przedstawicielstwo związków, $\frac{3}{5}$ (36 radców) wybierają poszczególna związki — $\frac{1}{10}$ powyższej ilości nominuje minister i $\frac{1}{10}$ kooptuje walne zebranie. Otóż delegacja sfer handlowych u ministra, która przedstawiła się jako przedstawicielstwo wszystkich zainteresowanych za inspiracją p. Miecz. Żejmy — ustaliła z ministrem listę nominantów i kooptantów i nie przyznała się (w części chrześcijańskiej) do tego po powrocie — przeto ostatnich 12 radców trafiło do Izby znowuż jako przedstawicielstwo związków i to o przewadze handlowej.

Większość radząca „Komisji Doradczej” (organizacyjnej) zawarła następnie umowę z podsunętym z Warszawy byłym ministrem Romockim, nieobeznanym z naszym krajem, na stanowisko Dyrektora Izby z pensją 3000 zł. mies. przy 14 tu pensjach — budżet Izby ustalono wbrew głosom polskich przemysłowców, a w nieobecności Białegostoku, przeznaczając prawie wszystkie rozporządalne sumy (dodatki do świadczeń przemysłowych) — na wydatki personalne (162 tys. na 8 mies.) — uchwalono to następnie przez Izbę. Zarząd ustalono w ten sposób, że na 9 osób, — z których 4 miejsca zajmują żydzi i jeden przedstawiciel Białegostoku — obsadzono stanowisko Prezesa, wiceprezesa i członka zarządu przez handel — pozostawiając ostatnie jedno miejsce członka zarządu dla przemysłu chrześcijańskiego. A tymczasem przemysł chrześcijański u nas, szczególnie drzewny i papierniczy — dorasta rozmiarami żydowskiemu, pod-

czas gdy handel chrześcijański pozostaje daleko w tyle poza żydowskim, więc jeśli miał być taki stosunek — to raczej odwrotny. Przytem przedewszystkiem przemysł jest zainteresowany w Izbie, bo taryfy, cła, komunikacje, traktaty i t. p. są zarówno podstawowymi czynnikami rozwoju przemysłu jak i podatki, a handel nasz interesuje się niemal wyłącznie sprawami podatkowymi.

W tych warunkach chciano nadać Izbie *przemysłowo-handlowej* niemal wyłącznie *handlowy* charakter, co byłoby spaceniem jej zadań. Nic też dziwnego, że pokrzywdzony przemysł chrześcijański wileński, łącznie z również pokrzywdzonym przedstawicielstwem Białegostoku (przemysł i handel, chrześcijanie i żydzi) — zablokował się — i zgłosił abstynencję w pracach Izby do czasu zrównania praw z handlem. Wobec tego, że sprawy żydowskie w Izbie były prowadzone przedewszystkiem przez polityków, którzy nadali Izbie ton jakby parlamentu polsko-żydowskiego (reminiscencje z Rady miejskiej), a nie przez dawnych przemysłowców i odwiecznych kupców żydowskich w Wilnie, że sprowadzono byłego ministra na dyrektora aż z Warszawy, że pokłócono się zawzięcie z przemysłowcami, a potem wewnętrznie we władzach kierowniczych nieskompletowanych Izby, przy abstynencji większości przemysłu — przeto sprawa nieruszała z miejsca.

P. Romocki, przyznać to trzeba, wziął się do pracy energicznie — i zarzut czyniony mu przez polskich przemysłowców, że w ciągu 6-ciu miesięcy płatnej kandydatury nic nie robił — upadł sam przez się, i do tego stopnia, że dla załatwienia sprawy przemysł zgodził się przy układach wziąć go „na swój rachunek”. Podstawowym bowiem warunkiem zgody był punkt, że stanowiska najważniejsze prezesa i dyrektora Izby powinny za wspólnem porozumieniem być obsadzone przez kandydatów przemysłu i handlu. A skoro prezesem Izby został kupiec p. Ruciński, to dyrektora winien wysunąć przemysł.

Zebrałi się wreszcie wszyscy: kupcy i przemysłowcy, żydzi i chrześcijanie — razem z delegatami Białegostoku — ustalono punkty porozumienia —

wieczny. Wypuszczalem w rok po jednej młodej gałązce do pracy; pozwolę co rok jednej starej na odpoczynek. Wystarczy jeszcze na długó.

Omylił się. Prędej się starzeje niż dojrzewa.

Zabrakło pożywienia zaledwie w siedemsetnej części, a już zmarniał cały środek. Wiednął, sechł, pękał i począł rozsypywać się w popiół starości.

Co raz więcej gałęzi szło na spoczynek, coraz bardziej kruszyło się wnętrze. Nie minęło 300 lat, a cały bok spróchniał. Dziesięciu ludzi mogło się wewnątrz schronić od deszczu. W końcu sama skorupa pozostała. Zeschły gałęzie, osypały się liście. Nie rozpekały na wiosnę. Tylko gałąź przegięta nad rzeczką — zieleńiła się kilku liśćmi. Tylko ta jedna.

Dąb starzał się po królewsku — trzysta lat. Jednak nie siedemset. Wystarczyło i tyle, aby pokolenia zaczęły Króla nazywać — już nie Czarnym, tylko Pniem Czarnego.

Gdy ostatnie gałązki zadrzemały — pozostał sam suchy pień. Lecz któż i jego zmoże?

Zaczęli ludzie korzystać z lasu. Cięli na budulec i na opał sobie; rąbali na budulec i na opał sąsiadom. Cięli — dopóki nie zabrakło.

Wzięli się wtedy do pni. Niektóre wyrwać łatwo.

Przyjdą ludzie, postukają z jednej strony, postukają z drugiej.

— Podda się! — mówią i przed ciężką pracą siadają na pniu już zwalonym.

Nie śpiesząc się — wyciągają kapciuchy z machorką i fajki, nadające się właśnie do palenia w lesie, na świeżem powietrzu, — i zaczynają zaciągać się zrzadka, obracając głowy w tę i ową stronę, czy nie ujrzą czego ciekawego. W końcu, fajki wypalone. Szkoda, że już! Popatrzą jeszcze do wnętrza fajki — czy nie ćmi się; nie dowierając — wsuną palec; nie, nie gorąco.

— No, niema, to niema!

Odetchną. Wytrzęsą popiół z fajek, stukając o pień albo o paznogie. Wyciągną się, ziewną, poskrobia w głowę, podrapią zanadrze; w końcu odsuną z czoła czapki, spluną w dłonie, ujmą siekiery i przystąpią do pracy.

Tu odkopią, tam rąbną toporem, ówdzie drąg podłożą, poruszą z jednej, z drugiej strony. Jeszcze pokopią, jeszcze porąbiają, jeszcze potargają — i wielki pień przewraca się sięgając korzeniami wysoko. Jak wyrwany z ręki wrzód, który zostawia szeroką, brzydką dziurę.

Robota skończona. Trzeba teraz znowu odpo-

i wtedy... okazało się, że p. Romocki swoją arbitralnością zraził sobie swych sojuszników dotychczasowych i podał się do dymisji.

Punkty porozumienia wymagają pewnych poprawek statutu (wiceprezes od przemysłu, zastępcy członków zarządu i t. p.)—trzeba w tym celu Izbę zwołać i uzyskać zatwierdzenie ministerstwa. Dyrektor in statu demissionis, mogący liczyć na poparcie przemysłu, szczególnie białostockiego, jeśli pozostanie na stanowisku, ale namyślający się nad tem, handlowcy namyślający się, czy ratyfikować układ zawarty z przemysłem przez paru przedstawicieli, kanikuła, wyjazdy wielu najczynniejszych radców — oto stan w jakim Izba się w tej chwili znajduje, a z którego wyście znaleźć trzeba.

Moment polityczny, endecki u niektórych handlowców, a również polityczny u niektórych Żydów — (w myśli zasady: lepiej zgoda z antysemitami niż z tymi, którzy i tak pod tym względem nie są niebezpieczni), niepotrzebnie wprowadzany do pracy społeczno gospodarczej — także wiele szkody przyczynia.

Miejmy jednak nadzieję, że te wszystkie tarcia dotychczasowe są dowodem szczerego ogólnego zainteresowania pracami Izby — i że po przewycięzeniu tych tarć praca ta potoczy się gładko i owocnie, na co kraj, a sfery gospodarcze w szczególności czekają z upragnieniem, bo pomysłowość władz w dziedzinie utrudniania działalności gospodarczej wykazuje coraz to nowe kwiatki na tej niwie.

Uregulować więc pracę Izby czas już najwyższy.

„Radca“.

Prasa i cenzura w Litwie.

Z okazji zakończenia „miesiąca rozpowszechniania prasy” półurzędowa „Liet. Aidas” wypowiada następujące uwagi na temat czytelnictwa gazet w społeczeństwie litewskim.

cząć na przewróconym pniu, pokurzyć fajki. Odpoczywają więc i kurzą. Tak w ciągu kilkunastu godzin dziennej pracy wydobędą kilka pni. Nie minie dziesięć lat tej wytężonej litewskiej pracy, a w miejscu gdzie szumiał las — zabieli się gryka lub zafaluje żyto.

Ludzie ogalają pagórki naokoło Pnia Czarnego, ale jego samego nikt nie zamierza rwać. Pni doń przystąpisz. Gałęzi wyschłych na stal — siekiera nie bierze; ani natniesz, ani porąbiesz, ani całych na wóz nie położysz. Końca korzeni nie odnajdziesz w głębi.

I stał Pień Czarnego jeszcze półtorasta lat, całkiem już nieżywy. Wciąż jeszcze panował nad szeroką okolicą Wadowa; wciąż zadziwiał ludzi niesłychaną wielkością i grubością — zwalisk olbrzymią; wciąż wskazywał drogę podróżnym i wciąż przybijano doń kapliczkę z Chrystusem fraszobliwym. Dużo, dużo ich spróchniało; zamieniano je nowe ni, Pień zaś był wciąż ten sam.

Tak próchniał Pień Czarnego w miejscu, nie zaczepiany, ani ruszany przez nikogo. Odpadła ostatnia kapliczka. Miejsce poświęcone — zmieniło się na zwykłe. Pagórek rósł sam przez się na dawnym ołtarzu ofiarnym. Czarny zwał swe ciało na kupę i gdy oddał wierzchołkowi góry wszystko, co odeń

„Należy przyznać, że społeczeństwo nasze nie zawsze potrafi odróżnić sprawy ważne od mniej ważnych. Mamy dużo różnych organizacyj gospodarczych, kulturalnych i politycznych. Nie mamy jednak ani jednej organizacji, którejby celem było rozpowszechnianie prasy.

Na pisma zapatrują się u nas jako na bussines komercyjny, czy polityczny. Większość sądzi, że jeżeli pismo samo siebie reklamuje, to reklama ma tyleż wartości, ile reklama jakiegoś lcka, sprzedającego swe śledzie, dziegieć i inne towary. Oprócz tego pisma reklamując siebie, często ganią inne. Nie jest to niczem innym, jak zachwalaniem swego kramiku i mało się zwraca na to uwagi.

Z tych powodów należałoby założyć towarzystwo propagandy czytania pism. Jeżeli się nie żałuje czasu, pracy i środków na propagowanie uszlachetnionej rasy bydła, nowych maszyn i innych, co prawda potrzebnych rzeczy — tembardziej nie można tego żałować na propagowanie czytania. Intenzywna propaganda może dokonać bardzo dużo. Np. Związek Wyzwolenia Wilna w krótkim czasie osiągnął znaczne rezultaty. Czyż niedobrzeby było mieć podobny związek popularyzowania czytania? Jest on bardziej jeszcze potrzebny niż Związek Wyzwolenia Wilna, gdyż naród nic nie czytający nie jest narodem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Mówiąc o czytaniu u nas musimy zaznaczyć różnicę między wyższymi i niższymi warstwami naszego społeczeństwa. Niższe warstwy, szczególnie rolnicy, czytają stosunkowo więcej, niż t. zw. inteligencja. Mniej więcej co druga rodzina rolnicza prenumeruje jakieś pismo, co bodaj, czy można powiedzieć o inteligencji. Np. w Kownie jest najmniej około 20.000 inteligencji litewskiej, a gazet litewskich sprzedaje się nie więcej ponad 5.000, czyli, że gazety czyta mniej więcej co czwarty inteligent. Nie czytanie tak zapanowało wśród naszej inteligencji, że niektórzy nawet tem się szczycą. Nie byłoby to jeszcze tak straszne, gdyby zamiast gazet czytali oni co innego. Chodzi jednak o to, że nie czytają oni absolutnie nic; nic nie wiedzą, niczego nie rozumieją

wziął; gdy ostatnia burza przewróciła osłabiony pień — powstał spory, zdaleka widziany pagórek: tysiącletni Czarny, olbrzym Litwy, król roślin, drzewo bogów — sam sobie usypał mogiłę.

Dla oczu ludzkich — mogiła, lecz nie dla wspomnień, nie dla wyobraźni. Czarny żyje: oto, duch jego na mostku...

Czarny nigdy nie był trupem; on tylko się odmieniał: sławny przez wieki o zielonych liściach stał się sławnym przez wieki suchodrzewem; suchodrzew — sławnym szkieletem; szkielec — Pniem Czarnego o nigdy nie ginącej sławie, wreszcie pagórkiem, źródłem podań starożytnej Litwy.

I smucić się będzie przyroda Litwy — duch Czarnego, cichy, nie krzywdzący nikogo, po nocach księżycowych; i przemawiać będzie tajemnymi głosami lat tysiąca, budzić poezję tęsknoty, wskazywać niebłądną drogę po kraju...

Tłom. z litewskiego St. Jabłońska.

i niczem się nie interesują — prowadzą życie zwierzęce. Jedzą, śpią, wykonywują inne funkcje fizjologiczne i przesiadują po sześć godzin w biurze. Wieczorem grają w karty — w dzień szlifują bruki. To też nie widać u nas żadnego życia, tylko wegetacja. Jeżeli np. ogłasza się odczyt o modach kobiecych, o rzeczach seksualnych, albo sensacyjnych, słuchacze znajdują się, jeżeli odczyt jest nieco poważniejszy — pusto. Jeżeli w towarzystwie rzekomej inteligencji zacząć mówić o tematach naukowych, literackich — wszyscy wkrótce zaczną ziewać i ulotnią się; jeżeli się zacznie opowiadać pikantne anegdoki — wszyscy z rozdziawionymi gębami będą słuchali całymi godzinami. Należy nad tem się poważnie zastanowić. Potrzebny tu nie miesiąc rozpowszechniania prasy, lecz rok i to nie jeden...”

Inaczej oceniają stan rzeczy pisma opozycyjne. Upatrują one przyczyny złego przedewszystkiem w istnieniu cenzury, która czyni prasę jałową i nieinteresującą.

Umiarkowany chrześcijańsko-demokratyczny „Rytas” wykazuje dobitnie szkodliwość cenzury dla rozwoju prasy, życia społecznego a nawet interesów państwowych.

„Prasa litewska wciąż jeszcze znajduje się pod opieką cenzury. Z niewiadomych powodów porzucono już rozmowy o jej zniesieniu. Charakterystycznym jest, że przedtem nawet prasa urzędowa pozytywnie wypowiadała się w tej sprawie. Zdawało się, że kwestja zniesienia cenzury już dojrzała. Jednak obecnie pozory przemawiają za tem, że kwestja ta została zdjeta z porządku dziennego. Chcemy więc pomówić o szkodliwości cenzury dla kraju i kół rządzących.

Naogół należy stwierdzić jeden nieprzyjemny dla prasy fakt, że podczas działania cenzury, prasa traci kredyt w społeczeństwie. Pisma, któreby były w stanie pisać krytycznie o położeniu państwa — nie mogą tego napisać. Pismom zaś przychylnym rządowi nie pozwala na to ich taktyka. W ten sposób społeczeństwo nie może wyrobić sobie opinii o całym szeregu wypadków. Pomimo więc wiadomości z ocenianych gazet — znajdują się inne prawdziwsze wiadomości, które słownie kursują z miasta do miasta, z ust do ust.

Nie należy się przeto dziwić, że podobne wiadomości odbywają długą podróż, a w różny sposób podawane — ostatecznie nie są podobne do rzeczywistych faktów. Tak, iż nieraz „Liet. Aidas” zmuszone jest dementować je. Zagranicą podobne rzeczy nie miałyby miejsca.

Ustne wiadomości rozchodzą się z szybkością błyskawicy i podważają autorytet rządu. Zdawałoby się, że rząd boi się krytyki, która została uznana we wszystkich krajach kulturalnych. Ten, kto pracuje często nie zauważa swych błędów. W życiu zaś państwa błędy kół rządzących odbijają się na interesach społeczeństwa. Państwo jest tak skomplikowanym tworem socjalnym, że taki, czy inny krok rządu może wiele decydować. To też zakaz swobodnego i publicznego mówienia o pracy rządu, o gospodarce państwowej, jest, rzec można, zjawiskiem poprostu niezrozumiałem; wówczas państwo nie może wiedzieć, co myśli społeczeństwo; społeczeństwo zaś rozpowszechnia o rządzie różne plotki.

Utrzymywanie cenzury jest dotkliwą stratą również dla naszej, dopiero tworzącej się, prasy. Niema już zdaje się w Litwie takich dziennikarzy, którzyby nie pisali tylko dla cenzury, każdy z nich przed napisaniem artykułu do gazety, stara się jak najbardziej

owinąć swe myśli w bawełnę i dostosować do obecnych warunków prasowych. Często jednak i to nie pomaga.

Wszystkie nasze pisma mają niezbyt wielkie nakłady. Wołamy wszędzie, że inteligencja czyta pisma zagraniczne, a nie czyta swoich. Wszelako zapominamy, że nasze pisma przechodzą przez cenzurę; taki zaś „Berliner Tageblatt” i „Siegodnia” te same rzeczy biorą w ujęciu bardziej przybliżonem do prawdy. Gdyby nie sprzedawano tych pism w Litwie — to byłoby kwestją obojętną, obecnie zaś pisma zagraniczne rozpowszechniają się u nas kosztem naszych pism.

Institucja cenzury nie jest pożyteczna, ani dla prasy, ani dla społeczeństwa, ani też dla państwa. Sądziłszy, że czas już znieść cenzurę w Litwie. Nie byliśmy, nie jesteśmy i nie zamierzamy być stronnikami absolutnej swobody prasy, ani też unikać odpowiedzialności sądowej. Jak życie normalne, tak i sprawy prasowe powinien regulować sąd. Przecież działacze prasowi nie są jakimiś barbarzyńcami, że trzeba względem nich stosować jakieś specjalne przepisy i oddawać pod dozór specjalnych instytucyj”.

Rzecz prosta, że organ półurzędowy nie podziela podobnych zapatrywań.

„Nie utrzymujemy — pisze on — że stan wojenny i jego skutki odpowiadają wymaganiom spokojnej kulturalnej pracy. Na stan wojenny i cenzurę zapatrujemy się jako na zło konieczne... Musimy jednakże stwierdzić, że stan wyjątkowy ma swoją dobrą stronę. Dzięki niemu nastąpiło złagodzenie namiętności partyjnych i oczyszczenie polemiki w prasie politycznej. Szkalowanie poszczególnych działaczy nie odbywa się teraz tak swobodnie, jak za czasów sejmowych. W dojrzewaniu politycznym kraju stan wojenny i cenzura niewątpliwie odegrały wielką rolę...”

Wszystkie te argumenty pro i contra niezmiernie żywo nam przypominają polemikę w prasie polskiej na temat dekretu prasowego i częstych konfiskat pism opozycyjnych.

cz.

Działalność ks. Borodiczca.

(Dwa dokumenty).

W Nr. 11 naszego pisma podaliśmy relację naszego korespondenta z Dru i o pobycie tam ks. Borodiczca i zorganizowanej w porozumieniu z nim przez pewne czynniki miejscowe akcji, skierowanej przeciwko ks. marjanom, a posługującej się bronią demagogii najgorszego gatunku. Wystąpienie ks. Borodiczca spaliło wówczas na panewce. Zmuszony został on odjechać z Dru i zaniechać narazie swych niewybrednych popisów. Kto zna jednak dobrze ks. Borodiczca, ten mógł być pewny tego, że nie zaprzestanie on tak łatwo swej działalności „misyjnej” i że nadal będzie bruździł w tej lub innej formie.

Istotnie poniższe dwa dokumenty: — jeden bezpośrednio odeń pochodzący i drugi, najwyraźniej przezeń inspirowany — świadczą wymownie, jakimi środkami się posługuje słynny nasz „misjonarz”, by zarówno w opinii publicznej, nie orjentującej się w stosunkach miejscowych, jak w kołach miarodajnych wyrobić sobie reputację biednej ofiary, prześladowanej przez wrogów Kościoła i państwa.

I.

Panie Redaktorze!

W Numerze 141 „Kurjera Wileńskiego” z dnia 22.VI.1929 r. ukazał się artykuł, który był zbiorowo zredagowany w klasztorze i gimnazjum w Drui i jeszcze w rękopisie rozsyłany przez p. Matczaka i odczytywany różnym osobom poufnie przez oo. Marjanów.

Ponieważ ten klasztor znowu jał się broni nikczemników, t. j. oszczerstw haniebnych jak to czynił w r. 1927, nietylko szarga moje dobre imię, ale i w celach bardzo dla Kościoła i Polski niebezpiecznych, protestując i piętnując autorów oszczerstw, proszę Pana Redaktora o umieszczenie w swem piśmie co następuje.

Artykuł ostatni, jak i z r. 1927 inne, pomienieni autorowie zwykle podpisują anonimem „Parafjanin”.

Pytam oszczerców w osobach oo. Cikoty, Daszuty, Smulki, Hermanowicza i nauczyciela gimnazjum w Drui, p. Matczaka dlaczego tak nie porycersku postępują? Mnisi klasztoru i nauczyciele gimnazjum imienia Stefana Batorego w Drui, winni są wiedzieć, że rzucanie kamieni w kogoś z za węgla jest zakowstwem karygodnem, a wszelkie anonimy — podłością.

O cóż chodzi i czemu wszczęli waśń ze mną i ludem?

Poniższe szczegóły to wyjaśnią. Same władze i społeczeństwo osądzi. Dwa lata temu w Kurji Archidiecezjalnej poznałem ks. Cikotę. Jego wymowę, gładkość, wygląd admirałem, co spostrzegając, on zaryzykował i wyznał, że on założył klasztor Marjanów w Drui, prosił mnie o wstąpienie doń i oświadczał, że „kupił” za gażę 300 złp. mies. p. Matczaka, że zapoczątkował gimnazjum polskie imienia króla Stefana Batorego w Drui, a to w tym celu, by zruszczyć Kresy Wileńskie, stworzyć „Białoruś” z językiem rosyjskim i cerkwią unicką. To samo on potwierdził w swej „Białoruskiej Krynicy” Nr. 36 z 1927 r. (patrz „Kresy Wileńskie w niebezpieczeństwie”). Mówił on wyraźnie: „Bielarusy pawinny pomnić, szto ich daroha razam z Litoucami”... Czyż może być wyraźniejszą zdrada Ojczyzny?! Ponieważ ks. Cikoto pisał do jednego z pism katolickich, iż on gotów odstąpić od Kościoła, graniczy i tu ze zdradą.

Bywając w powiecie Brasławskim, spostrzegłem, iż rusyfikacja Kresów nad Dźwiną, zatoczyła koło bardzo wielkie. Lud, który tak bohatersko walczył z zakusami Murawjewa, gwałtami i mordami Chowańskiego, z „trebnikami” Łylińskich i t. p., który to lud za „polską wiarę”, jak to nazywał, szedł do kazamatów całując szkaplerz, pędzony na Sybir, śpiewał żałośnie: „Boże, coś Polskę”, który dla oswobodzenia Ojczyzny, lał krew w potyczkach z Niemcami, Sowiecami i za generała Żeligowskiego — został poprostu przez oo. Marjanów zasypany broszurami i gazetami rosyjskimi a w kościele drujskim bezkarnie śpiewano: „Światy Boże, Gospodu pomolimsia”, czego tam nigdy nie dopuszczano — przyjąłem parafję Leonpolską, bez kościoła, plebanji i bez środków, by obcinać poliparusyfikatora macki. Po paru kazaniach lud się ocknął: we dwa i pół miesiąca odbudował sześć kościołów...

Oo. Marjanie syknęli kilkudziesięciu artykułami, skonsternowali władze a były minister Dobrucki zmusił mnie odjechać do San Remo...

Nie mogąc dalej zwalczać rusyfikacji, wydałem broszurę: „Kresy Wileńskie w niebezpieczeństwie”

(Skład Książki Polskiej, Warszawa pl. św. Aleksandra lub księgarnie w Wilnie), zdemaskowałem na str. 50 aż 564 jaczejki ze 100.000 komunistów na Kresach i chyba drugie tyle ukrywających się jak moi oponenci-oszczercy. Cieszyłem się, że Sady Wileńskie przyjaciół i towarzyszy rusyfikatorów drujskich kilkudziesięciu na Łukiszki posadzili...

Wyrok ten był nauką oo. Marjanom: gdy otdąd ktoś z wyższych lub wizytator klasztoru lub gimnazjum w Drui się zjawiał, zawieszali oni aż po *trzy Białe Orły* w sali przyjęć, imponowali uprzejmością, wykwiłtnem poczęstunkiem a p. Matczak z uczniami śpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła”, chociaż przed chwilą on sam tak starannie przestrzegał, by w *pol-skim* gimnazjum mówiono wyłącznie po rosyjsku.

Ciż sami komedjanci nie szczydzili pieniędzy i pracy na zasypywanie swych i obcych parafjan wraz z Inflantami Polskimi na Łotwie — broszurami rosyjskimi, „Białoruska Krynica” i t. p., w których ośmieszali, bezcześcili i dyskredytowali patriotów i działaczy Polski, nie oszczędzając Arcypasterza i inne władze.

Gdy 13.IV b. r. zjechałem do Drui na odpust św. Antoniego, Ojcowie otoczyli mnie swą strażą o „ostrem pogotowiu” nawet w kościele i zakazali kontaktu z ludem, który widząc to, po nabożeństwie porwał mnie, wsadził na wóz umajony, nie końmi, ale sam pociągnął na plac św. Antoniego i, pod groźbą znieważeń czynnych oo. Marjanów, zmusił mnie do powiedzenia kazania o św. Antonim, zorganizowania i wyboru Komitetu, do którego i moje imię wpisał, odruchowo złożył koło 1000 złp. nazajutrz tłumnie zwoził materiał budowlany i odkopał przepiękne fundamenty wspomnianych świątyń, t. j. kościoła św. Antoniego, spalonego przez popów i drugiego — M. B. Różańcowej, rozdartego dynamitem przez moskali w 1909 r.

Ten odruch 5000 tłumy zrozumieli oo. Marjanie i sądzili, że ten tłum, pod „egidą ks. Borodiczca”, jak mnisi mówili, wyrwie się z pod opieki rusyfikatorów. Bronili się po swojemu: Kiedy wróciłem z placu, podczas obiadu zaproponował mi o. Cikota „kwasu”, sam przyniósł butelkę i nalał do szklanki, a gdy spragniony wypilem jedną trzecią nalanego płynu — uczułem dławienie, gryzienie a lzy polały się ciurkiem i gdyby nie silne wymioty, skutki byłyby fatalne...

Sapienti sat!

Najbardziej mi przykro jest opisywanie powyższego, ale, ponieważ oo. Marjanie i nauczyciele gimnazjum polskiego kontynuują robotę siepaczy carskich, poczynania ich krecie są zbyt wrogie dla Kościoła i Polski, mając na względzie i to, że sam Kościół za zdradę Mistrza z Nazaretu nie cofnął się w potępieniu b. apostoła Judasza, proszę wszystkie Sz. Redakcje o łaskawe umieszczenie i napiętnowanie niniejszem winnych zdrady. Dobro bowiem Ojczyzny i Kościoła przedewszystkiem!

Z szacunkiem

Ksiądz Kanonik Józef Borodicz

Próboszcz.

Wilno, ul. Wiwulskiego 12, m. 3.

1929 r. 4. VII.

II.

KOŁO DRUJSKIE
DZIŚNIEŃSKIEGO POWIATOWEGO
ZWIĄZKU OSADNIKÓW WOJSKOWYCH

Druja, dnia 25 czerwca 1929 r.
L. 295.

DO

JEGO EKSCELENCJI
KSIĘDZA ROMUALDA JAŁBRZYKOWSKIEGO
ARCYBISKUPA WILEŃSKIEGO.

Wasza Ekscelencjo,

Najprzewielebniejszy Ojciec Arcypasterzu!

Część osiedlonych na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej byłych żołnierzy, ochotników Armii Polskiej, ma swe osady w okolicach miasta Druj, w powiecie Brasławskim.

Zrzeszeni tu w Drujskie Koło Osadników, mieszkając stale w parafii Drujskiej od roku 1922-go i zbliżając obserwując życie miejscowej ludności, nie mogli oni nie dostrzec zmian, zaszłych w jej nastrojach od czasu usadowienia się w klasztorze po bernardyńskim w Druj Ojców Marjanów i objęcia przez nich zarządu i obsługi duchownej całej parafii Drujskiej.

Przed przybyciem tego zakonu do Druj, każdy z wyznawców religii katolickiej w tych stronach, niezależnie od tego, czy posługiwał się w życiu domowym książkowym językiem polskim, czy też częściej jego miejscową gwara, zanieczyszczoną naleciałościami z języka moskiewskiego, czuł się Polakiem, za takiego siebie zawsze podawał i w dzieci swe wpajał, razem z wiernością dla Świętego Kościoła Katolickiego oraz przywiązaniem do Jego obrządku łacińskiego, gorącą miłość Polski. Ze uczucia te nie datowały się tylko od czasu wskrzeszenia Polski, lecz żywiła ją tutaj ludność katolicka oddawna, świadczy, chociażby fakt, iż wszystkie usiłowania Rządu moskiewskiego wprowadzić do nabożeństwa dodatkowego w kościele, zamiast języka polskiego, mowę rosyjską lub w ostateczności, zbliżoną do niej gwara, tak zwaną białoruską, wobec zdecydowanego oporu katolików w tych stronach, stale doznawały zupełnego niepowodzenia.

Tak było nawet pod jarzmem moskiewskim, w czasie najśroźszego prześladowania Polaków i wszystkiego, co polskie: zdawałoby się więc, iż po zrzuceniu nienawistnego jarzma i powrocie tej części kresów polskich na łono Ojczyzny, przywiązanie do Niej ich mieszkańców katolickich powinno być pogłębiać się i wzrastać.

Stało się jednak odwrotnie. Przybyli do Druj ojcowie Marjanie. Rozporządzając tak nieuchwytnym narzędziem, a zarazem potężnym orężem, jak konfesjonał, rozpoczęli oni swą pracę duszpasterską w tych stronach od wprowadzenia w kościele Drujskim kazań po białorusku, szerzenia „Białoruskiej Krynicy” oraz innych w tej gwarze wydawnictw i wmwawiania swym, mniej uświadomionym narodowo, parafjanom, że ci są, właściwie, katolikami narodowości białoruskiej, nie zaś żadnymi Polakami.

Dla zamaskowania istotnego, antypolskiego, celu swej tutaj roboty, założyli ojcowie Marjanie w Druj gimnazjum imienia króla Stefana Batorego. Jest to, niby, uczelnia polska, lecz ucząca się w niej młodzież, zamiast stale używanego przez nią przedtem języka polskiego, zaczyna teraz w klasach starszych posługiwać się prawie wyłącznie, gwara białoruską, czyniąc to wszędzie niemal ostentacyjnie, gdy jedno-

cznie i obok tego uczniowie staroobrzędowcy, prawosławni i żydzi z miejscowej państwowej szkoły powszechnej mówią coraz chętniej między sobą po polsku i zaczynają zapominać już język rosyjski.

Do pomocy sobie, ojcowie Marjanie powołali szereg stowarzyszeń, o charakterze, z pozoru, czysto religijnym, założonych przez nich, niby dla doskonalenia się chrześcijańskiego i wspólnych praktyk pobożnych, w rzeczywistości zaś dla szerzenia białoruszczyzny w tym kraju i odciągania do niej od polskości miejscowych katolików. Przez stowarzyszenia te i konfesjonał ojcowie Marjanie z Druj wywarli decydujący wpływ na to, że w ostatnich wyborach w powiecie Brasławskim do Sejmu i Senatu lista Nr. 18, to jest, Bloku mniejszości narodowych odniosła zwycięstwo nad listami polskimi, a głównie nad szczególnie zwalczaną przez tych księży listą Nr. 1 Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

Później, kiedy bardzo liczne grono mieszkańców miasta Druj i jej okolic, w obawie o zagrożony przez ojców Marjanów, dotychczasowy, polski charakter parafii Drujskiej oraz w ciężkiej trosce o podminowywane przez nich jedność i zgodę wśród jej wiernych, postanowiło wszcząć starania o usunięcie tych zakonników od jej zarządu, czyniąc w tym celu kroki do odbudowania w pierwotnych kształtach, zburzonej przez Moskali, farnej ongi świątyni Matki Boskiej Różańcowej i strawionego obok pożarem a otaczanego szczególną czcią miejscowej ludności, drewnianego kościołka pod wezwaniem Św. Antoniego z Padwy, to ojcowie Marjanie, bez wiedzy ogółu parafjan, natychmiast zaproponowali panu wójtowi gminy Drujskiej sprzedaż placu z fundamentami tych świątyni gminie Drujskiej pod szkołę powszechną, nie obwarowując w akcie przyrzeczenia sprzedaży, by na miejscach dawnych ołtarzy Pańskich nie stanęły teraz ustępy szkolne.

Ostatnio, kiedy nie zważając na to i wobec nie sporządzenia jeszcze aktu wieczystego na tę karygodną sprzedaż, kilkotysięczne zgromadzenie miejscowych katolików w dniu Św. Antoniego, większością wszystkich głosów przeciw trzem, wybrało w obecności władz policyjnych, do budowy tych domów Bożych, specjalny komitet powołując na jego prezesa przybyłego z Włoch, na wielokrotne i natarczywe nalegania parafjan Drujskich, zdawna im znanego ze swej gorliwości kapłańskiej i niegdyś więzionego za to przez władze cesarskie, a niestrudzonego pomimo starości, księdza kanonika Józefa Borodiczca, to ojcowie Marjanie Drujscy, by przeszkodzić odbudowie kościołów, użyli perfidnego, nie licującego z ich stanem sposobu, a mianowicie rozestali po wioskach oddane sobie osoby, dla zbierania wśród ich mieszkańców podpisów na czystych arkuszach papieru, które rzekomo miały być dołączone, do złożonej Waszej Ekscelencji prośby, o zupełnie innej treści, nie znanej tym, których podpisy są pod nią i mającej na celu jedynie sparaliżowanie akcji odbudowy wymienionych wyżej kościołów i przeszkodzenie utworzeniu w Druj parafii, niezależnej od zakonu ojców Marjanów.

Widząc to wszystko Drujskie Koło Związku Osadników, na mocy jednogłośnie uchwały swych członków, a ku ich największemu ubolewaniu, zmuszone jest podać do Twej Ekscelencjo, nasz Najczcigodniejszy i Ukochany Ojciec Arcypasterzu, wiadomości, że cała dotychczasowa działalność ojców Marjanów w Druj, zamiast łączyć i jednoczyć wszystkich wyznawców naszej Świętej Wiary Rzymsko-Katolickiej w tym dalekim i więcej niż inne, narażonym na wpływy Wschodu zakątku Polski, zdradza swe zupełnie wyraźne piętno

polityczne, tendencje skrajnego separatyzmu białoruskiego i służą jego celom więcej, niż Kościołowi, zmierza do rozsadzenia jednolitej i twardej skały katolicyzmu w tych stronach na dwa wzajemne sobie wrogie odłamy: polski i drugi narodowości, rzekomo białoruskiej.

Jednocześnie Koło błaga Cię, Najdostojniejszy Arcypasterzu o utworzenie w Drui parafii całkiem niezależnej od zakonu ojców Marjanów i o błogosławieństwo Arcypasterskie dla członków Koła i jego zarządu.

Prezes: *Jan Zakrzewski.*

w/z sekretarza: *Wiktor Wojtczak.*

Niemamy ochoty ani miejsca, aby wykazywać i prostaować wszystkie zawarte w obu powyższych elucubracjach błędy, świadome fałsze, insynuacje i oszczerstwa. Czytelnik z łatwością sam je dostrzeże. Szczytem przewrotności jest wzmianka w liście ks. Borodzicza o zatrutym przez ks. marjanów kwasie...

Bardzo ciekawym przyczynkiem do charakterystyki osadnictwa wojskowego u nas jest przytoczone wyżej podanie koła drujskiego. Potwierdza ono w zupełności opinię o osadnikach wojskowych, jako o elemencie szowinistycznym i intryganckim, który nie potrafi żyć się z naszym krajem i jego ludnością, uważając siebie za powołanego do specyficznej misji kulturregierskiej o zabarwieniu skrajnie nacjonalistycznym.

Z mego notatnika.

O umierającym Wilnie i zastrzykach kamfory.

Niedawno byłem świadkiem, jak w pewnym towarzystwie grono działaczy wileńskich czyniło gorzkie wymówki jednemu z najwplywowszych przedstawicieli obecnego rządu, że ten za mało się troszczy o Wilno i za mało się niemu opiekuje, że miasto o własnych siłach nie może się dźwignąć z ruiny powojennej, a władze centralne nie śpieszą mimo to z wydatną dlań pomocą. Wysoki dygnitarz państwowy usprawiedliwiał stanowisko rządu brakiem odpowiednich funduszy, podkreślając jednocześnie, że Wilno w znacznym stopniu samo jest winne swemu upadkowi wskutek swej niezaradności, ponieważ nie wykazuje żadnej energii ani inicjatywy, oglądając się jedynie na pomoc Warszawy. Jeden z obecnych uczynił wówczas niezmiernie trafną uwagę: „Niewątpliwie ludność wileńską cechuje bierność i brak przedsiębiorczości, ale kto wie, czy nie dzięki tym właściwościom zawdzięcza państwo polskie, że wcielenie Wileńszczyzny poszło tak gładko i łatwo!”

Tak jest niewątpliwie. Gdyby ludność wileńska odznaczała się większą samodzielnością, żywiła większe ambicje i bardziej cenila siebie i swe miasto rodzinne, to nie zrezygnowałaby z lekkim sercem z tradycji przeszłości, nie pogodziłaby się tak łatwo z utratą przez Wilno stanowiska grodu stołecznego i zejściem jego na poziom rezydencji jednego z kilkunastu wojewodów państwa polskiego. Wilno szło posłusznie za wskazówkami i dyrektywami Warszawy i zgotowało sobie taki los, na jaki w zupełności zasłużyło.

I p. M. w „Słowie”, wypisując wielkimi literami, że „Wilno umiera”, stwierdzając jego upadek, jego rosnącą nędzę i słabnący puls, najniesłuszniej oskarża o to rząd centralny, ministerstwo spraw zagranicz-

nych, Ligę Narodów, sprzymierzoną Francję i Bóg wie jeszcze kogo. Powinien winić wyłącznie siebie i swych współobywateli, którzy, nie myśląc o przeszłości i przyszłości, pośpiesznie i w uniesieniu podpisywali akt wcielenia Wileńszczyzny „bez zastrzeżeń” i odprawiali dziękczynne modły, gdy „kochani sojusznicy”, — jak dziś ironicznie „Słowo” się wyraża — czyniąc zadość gorącym pragnieniom dyplomacji polskiej sankcjonowali granice wschodnie Polski, skazując tem samem Wilno na powolną agonję.

Zapewne, można mieć pretensję do Warszawy, że postępuje sobie z Wilnem zbyt bezwzględnie, że nie dotrzymuje tych obietnic, któremi tak szczerze szafowała w okresie, gdy ważyły się losy Litwy Środkowej, ale przy najlepszych chęciach nawet rząd centralny nie będzie w stanie zapewnić Wilnu takich warunków bytu i rozwoju, o jakich wspomina p. M. i którymby rozporządzało, gdyby było stolicą W. Ks. Litewskiego, ośrodkiem administracyjnym, kulturalnym i ekonomicznym dla całego kraju, a nie dla „czterech i pół powiatów”. Nic tu nie pomogą ani „namiętne szeptki”, ani krzyki i wymyślania. „Wilno jest zaciśnięte w worku” — z zupełną słusznością píše p. M.; żeby zaś sznury tego worka się rozluźniły, na to potrzeba porozumienia Warszawy z Kownem i zrezygnowania z zakusów imperjalistycznych, których właśnie p. M. i jego wileńscy czytelnicy są bardziej gorliwymi bodaj rzecznikami, niż kierownicy ministerstwa spraw zagranicznych.

P. M. z nieskrywanem zadowoleniem stwierdza, że „arcywileńscy mieszkańcy naszych przedmieść, ludzie ze Śnipiszek, Sołtaniszek, Rossy, Pohulanki, Kominów — wszystko to nienawidzi Litwinów więcej, niż Niemca, bolszewika, Moskala”... Mam co do tego grubie wątpliwości, ale jeżeli tak jest, jak utrzymuje p. M., to przyszłość Wilna byłaby beznadziejna. Przy takim usposobieniu ludności wileńskiej trudno mieć nadzieję na polubowne załatwienie zatargu polskolitewskiego, a bez komunikacji z Kownem Wilno będzie wciąż się dusiło z braku powietrza. Rząd polski w obecnym stanie może najwyżej stosować zastrzyki kamfory. Kamfora przedłuża wprawdzie sztucznie życie, lecz organizmu nie uzdrawia.

Może jednak znajdzie się lekarstwo skuteczne, gdy Wilno ostatecznie straci zaufanie do tego rodzaju lekarzy, co p. M. i jego współwyznawcy.

Rywal Voldemarasa.

Kto brał udział w życiu politycznym za czasów Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, ten niewątpliwie pamięta osobę p. Jurgisa Auksztuołaitisa, mocno zniemczonego Litwina, przebywającego wówczas w Wilnie w dość niewyraźnym charakterze, występującego bowiem w obronie państwowości litewskiej z Wilnem jako stolicą Litwy i wydającego w tym duchu pismo, a cieszącego się mimo to poparciem czynników miarodajnych polskich. Wraz z ewakuacją cywilnych i wojskowych władz polskich w r. 1920, znikł jednocześnie z horyzontu wileńskiego i p. Jurgis Auksztuołaitis i więcej się tu już nie pokazał. Można było przypuszczać, że karjera jego jest już skończona. W rzeczywistości jednakże jest inaczej.

W jednym z ostatnich numerów „Myśli Niepodległej” znajdujemy wiadomość o procesie, wytoczonym przez b. konsula polskiego w Kłajpedzie p. K. Mahlera kilku wyższym urzędnikom ministerstwa spraw zagranicznych tudzież p. Jurgisowi Auksztuołaitisowi za obrazę czci. Sąd zwolnił od kary wszystkich oskarżonych, uznając, że rozgłaszane przez nich

wiadomości, hańbiące Mahlera chociaż były nieprawdziwe, lecz były rozpowszechniane w dobrej wierze. „Myśl Niepodległa” przytacza przy tem obszerne wyjątki z umotywowanego wyroku, z których się dowiadujemy niezmiernie ciekawego szczegółu, a mianowicie, że p. Jurgis Auksztuolaitis miał (a może i ma?) w przyszłości odegrać rolę dyktatora Litwy.

Oдноśny ustęp wyroku brzmi jak następuje: „w stosunku do oskarżonego Jurgisa Auksztuolaitisa zeznaniem świadków ustalone zostało, iż Auksztuolaitis, będąc upatrzony na przyszłego dyktatora Litwy, był kierownikiem na olbrzymią skalę podjętej, zmierzającej w tym kierunku akcji i w związku z tem był zmuszony do działalności potajemnej i do jaknajdalej iśćcej ostrożności — miał więc pewne prawo i był w zupełnym porządku, gdy zawiadomił przedstawiciela Polski o tem, że konsul polski żądał od niego stwierdzenia okoliczności, której nie był pewny. Że nazwanie tego żądaniem złożenia świadomie fałszywego zeznania w świetle zgodnych zeznań oskarżyciela i oskarżonego, uważane być musi za nieumiejętne wysłowienie się i błędnie wobec tego, że wypowiedział je mąż stanu w chwili zwalczania drobnej przeszkody, stojącej na zawadzie dla osiągnięcia wielkiego celu, któremu się był poświęcił, że mając na uwadze te właśnie okoliczności, sąd doszedł do wniosku, że Auksztuolaitis działał jedynie w obronie swego honoru i misji, którą miał spełnić, nie mając jednak zamiaru uchybić czci Mahlera”...

Przy tej sposobności „Myśl Niepodległa” czyni trafną uwagę, że gdyby p. Auksztuolaitis nie był mężem stanu i kandydatem na dyktatora, tylko pełnił funkcje zwyczajnego konfidenta defenzywy, to wyrok sądu zapewne wypadłby inaczej. Rzecz prosta jednakże, że ten, kto ma obalić Voldemarasa i zająć jego miejsce, nie może być traktowany jako pospolity agent defenzywy. A my wszyscy, którzyśmy tu w Wilnie spotykali przed laty p. Auksztuolaitisa, nawet nie podejrzewaliśmy, że mamy do czynienia z tak wielką figurą!

Język i dusza.

W XVI i XVII wieku cały szereg pisarzy, Polaków z pochodzenia lub osiadłych w Polsce posługiwał się wyłącznie łaciną, jako językiem literackim. Pisano po łacinie prozą, pisano po łacinie również poezje. Niektórzy poeci, jak Sarbiewski np. władali po mistrzowskiemu językiem Horacego i cieszyli się w swoim czasie sławą wszechświatową. Historycy literatury mieli pewien kłopot z klasyfikacją ich utworów. Do jakiego piśmiennictwa należało je zaliczyć? Język wprowadzie klasyczny, lecz treść utworów nowożytna, ściśle związana z życiem polskim, z historją polską, z przyrodą polską. Dylemat rozwiązano ostatecznie bardzo szczęśliwie, wprowadzając specjalną rubrykę: pisarzy polsko-łacińskich.

Pewnej analogji można się dopatrzeć w utworach pisarzy wileńskich, piszących po polsku, jednakże czerpiących natchnienie z życia litewskiego, z przyrody litewskiej, z historii Litwy, a, co najważniejsza, odnoszących się do narodu litewskiego, do jego spuścizny dziejowej, do jego bohaterów ze zrozumieniem i miłością prawdziwie synowską. Z takich utworów, jak Konrad Wallenrod, Grażyna, Margier, Anafielas, Kunigas wieje duch szczerego patriotyzmu litewskiego. Przyczyniły się one niewątpliwie w znacznym stopniu do rozbudzenia ducha narodowego wśród inteligencji litewskiej w połowie XIX w. Tem

się tłumaczy, że niektórzy historycy literatury litewskiej zaliczają do niej Mickiewicza, Syrokomlę, Kraszewskiego, jak to uczyniła ostatnio p. Zofja Czurlonisowa w swem studjum, zamieszczonem w znanem czasopiśmie francuskim „Mercure de France”.

Stanowisko to autorki litewskiej dało asumpt krytykom warszawskim do niesmacznych drwin na temat „zachłanności” i „megalomanji” przedstawicieli młodej literatury litewskiej. Jest niewątpliwie przesada w twierdzeniach p. Czurlonisowej. Ani Mickiewicz, ani Syrokomla, ani Kraszewski w żaden sposób w całości nie mają być uważani za pisarzy litewskich, gdyż zaledwie częstkę swej twórczości poświęcili Litwie. Z drugiej strony jednakże niema nic dziwnego w tem, że naród litewski uważa za swoich tych poetów, którzy nie tylko głośno się przyznawali do tego, że Litwa jest ich ojczyzną, ale do tej Litwy namiętnie byli przywiązani, tęsknili do niej, gdy los ich zarzucił daleko a imię jej wymawiali ze czcią niemal bałwochwalczą.

Czyż nie jest Litwinem z ducha poeta — który wznosząc toast na cześć zasłużonego dziejopisa Litwy wołał z entuzjazmem

„O! jest człowiek od Boga przysłany tej stronie,
W jego piersi ognistej Znicz litewski płonie,
Jest mąż, co z rylcem dziejów stojący na straży
Starą i nową Litwę wspomnieniem koiarzy,
Co jak dawny ofiarnik prawnikom wspomina,
Bogów i bohaterów ziemi Gedymina” ..

Z drugiej strony jednakże tenże Syrokomla z równym uniesieniem opiewał przeszłość „lechicką” i z rozczuleniem stawał u kolebki Piastów. Mickiewicz obok „Pana Tadeusza” tworzył „Księgi pielgrzymstwa polskiego”, gdzie darmo szukać jakichkolwiek reminiscencyj litewskich.

Czy nie byłoby więc najwłaściwszem zaliczyć tych piewców Litwy do kategorii pisarzy polskolitewskich, o ile nie język wyłącznie ma decydować o narodowości autora? Że zaś język nie jest główną cechą przynależności narodowej, tego dowodem jest chociażby Przybyszewski, który początkowo pisał po niemiecku, a który jednakże całkowicie należy do literatury polskiej.

W każdym razie warto nieco poważniej się zastanowić nad zagadnieniem pierwiastku litewskiego w twórczości romantyków wileńskich, a nie przedstawiać jedynie na kpinach z rzekomo niepczytanych „aneksyj litwomańskich”.

Jestem pewien, że podobne spory o język i duszę zdarzają się i gdzieindziej, np. w stosunkach irlandzko-angielskich, ale jestem przekonany również, że nigdzie nie są one rozstrzygane tak płytko i szablonowo, jak w publicystyce polskiej. Zwracał już swego czasu uwagę na potrzebę naukowych badań w tej kwestji prof. M. Zdziechowski, ale głos jego przebrzmiał bez echa.

Dyletantyzm naukowy.

„Nasza Żiźń” polemizując z notatką „Ambo meliores”, zamieszczoną w ostatnim numerze naszego pisma, ob staje przy swem twierdzeniu o wschodniem pochodzeniu obrazu N. P. M. Ostrobramskiej. „Czyżby szanowny „Przeгляд Wil.” wierzył, że brednia, wymyślona przez prof. J. Kłosa, jakoby obraz ten stanowił portret Babary Radziwiłłówny, była prawdą historyczną? I jeżeli tak sądzi — to kto właściwie się ośmiesza?” zapytuje autor repliki w „N. Żiźni”.

Sądzę, że w dalszym ciągu ośmiesza się dziennik rosyjski, nazywając hipotezę prof. Kłosa „brednią”. W suppozycji tej bowiem nic absurdałnego nie ma. Odrzucając jednakże nawet hipotezę prof. Kłosa, jako nie stwierdzoną dowodami, można z całą pewnością utrzymywać, że obraz został namalowany w XV—XVI wieku, gdyż fachowe badania niezbitnie to wykazały. Legenda zaś o pochodzeniu bizantyjskim obrazu została obalona już przed dwudziestu laty w gruntownym studjum historycznym p. A. Wysłoucha. I doprawdy zakrawa na humorystykę wznawianie przebrzmiałego sporu. Autor repliki dobrze zrobi, jeżeli się zapozna z drugim zeszytem „Źródła Mocy” (Wilno 1927), gdzie znajdzie poddostatkiem materiału, który go przekona o niewłaściwości jego stanowiska.

Również niepotrzebnie „Nasza Żiźń” upiera się przy swem lekceważącym traktowaniu wywodów prof. Chodynickiego w kwestji legendy o trzech męczennikach wileńskich. Prof. Chodynicki poparł swą krytykę tej legendy tak poważną naukową argumentacją, że tylko historyk może z nim polemizować. Laik nie ma tu żadnego głosu.

Całkiem niefortunnie autor repliki powołuje się przytem na wartość i znaczenie podania z punktu widzenia teologicznego. Co innego teologia, a co innego historia. Prof. Chodynickiego nie można posądzać w danym wypadku o żadne tendencje szowinistyczne i wyznaniowe. Z równą bowiem bezstronnością zanalizował i stwierdził bezpodstawność legendy o męczennikach franciszkańskich.

Nie twierdzą bynajmniej, że każdy patentowany profesor jest bezsprzecznym autorytetem naukowym. Są wśród nich siły wybitne, a nie brak również zupełnych miernot. Trzeba umieć je rozróżniać. Nie znam dzieła prof. Konecznego o historii Rosji, więc nic nie mogę powiedzieć o tych przykładach, które przytacza „Nasza Żiźń”. Nie wydaje mi się wszakże prawdopodobnym, aby uniwersytet tolerował na katedrze takiego nieuka, jakim go maluje dziennik rosyjski. Jeżeli jednakże istotnie wspomniana praca prof. Konecznego nie posiada wartości naukowej, to z tego nie wynika, aby i rozprawy prof. Chodynickiego były bezwartościowe.

Niewątpliwie sporo jest tendencyjności w pracach rozmaitych badaczy naukowych, zwłaszcza działających na naszym gruncie, lecz żeby ją dostrzec i udowodnić — na to potrzeba większego zasobu wiedzy historycznej, niż go posiada autor repliki, a zapewne i tego artykułu, który wywołał naszą notatkę p. t. „Ambo meliores”.

Licz.

Przegląd prasy żydowskiej.

(Problem mniejszościowy w Polsce a mniejszość żydowska. — Z powodu ekscesów antyżydowskich w Kownie).

Przed kilkoma tygodniami w pepesowskim „Robotniku” ukazał się szereg artykułów traktujących o kwestji mniejszościowej w Polsce. Artykuły te podpisane przez naczelnego redaktora tego pisma, nosiły tytuł: „Problem t. zw. mniejszości narodowych”.

„Wilner Tog”, omawiając te artykuły zastanawia się najpierw nad ich tytułem i pyta:

„Dlaczegoż to „tak zwanych” mniejszości? Że pewne kolektywy narodowe są mniejszościami na pewnych terytorjach — to fakt, któremu zaprzeczyć nie podobna. Można na ten fakt patrzeć rozmaicie, ale jest on czynnikiem realnym, z którym trzeba się liczyć, d'aczego więc nie nazwać rzeczy po imieniu?”

Dalej pismo dziwi się, dlaczego autor w swych artykułach zupełnie przemilczał kwestję żydowską i powiada przy tem:

„Wszyscy u nas i rząd i społeczeństwo polskie bez względu na kierunek polityczny trzymają się w kwestji narodowościowej tej samej zasady: mniejszość żydowska dla nich nie istnieje. Gdy się kiedy porusza kwestję narodowościową w Polsce, to o postulatach żydowskich ani słowa. Politykę tę strusia względem mniejszości żydowskiej stosują nie tylko panujące partje większości, ale nawet stronnictwa t. zw. lewicy opozycyjnej. Z artykułów p. Niedziałkowskiego dowiadujemy się, że kwestja żydowska istnieje nie w Polsce, lecz w... Palestynie”...

I pismo kończy:

„Może taką strusią sugestią chce się zasymilować mniejszość żydowską? Trzeba więc tym, którzy pragną Żydów zasymilować powiedzieć, że nie wszyscy są strusiami: gdyby nawet Żydzi sami chcieli się zasymilować (a tego stanowczo nie chcą), nie udałoby się to tak łatwo, a to dlatego, ponieważ Żydzi są mniejszością w mniejszości, i to, czego nie widzi naród panujący, widzi reszta mniejszości narodowościowych. I widzą one bardzo nieładne dla naszego honoru narodowego rzeczy. Widzą mianowicie, że my jesteśmy krzewicielami panującej kultury i panującego języka”.

Jako przykład przytacza pismo rolę Żydów w Galicji Wschodniej i dla ilustracji przytacza cytat z tygodnika ukraińskiego „Diło”, które w związku z uroczystościami, z powodu 50-lecia działalności społecznej posła L. Rajcha przypomina Żydom z Galicji Wschodniej, że:

„Przywódca Żydów Wschodniej Galicji zawsze odgrywał rolę polskiego działacza państwowego i zapomniał zupełnie, że los Żydów na tej ziemi jest w pierwszym rzędzie zależny od dobrej komitowy z ludnością Galicji Wschodniej, która w swej przeważającej większości jest ukraińską”.

*

Nie tak dawno w prasie ukazały się wiadomości o pogromie Żydów w Kownie. Jakkolwiek rząd litewski temu oficjalnie zaprzeczył, prasa żydowska nie daje tym urzędowym zaprzeczeniom wiary. Żydowska Agencja Telegraficzna nawet wylicza cały szereg imion i nazwisk Żydów, którzy podczas pogromu ucierpieli.

P. Stupnicki omawia w „Momencie” w związku z temi pogromami historję powstania Litwy niepodległej i zwraca uwagę na rolę, jaką Żydzi przytem odegrali w tej historji.

„Do nowotworów w dziejach trzeba zaliczyć także i Litwę. Powinnaby być ona wzorem nowoczesnego zgodnego współżycia narodów. Kim są Litwini? Czy mają prawo historyczne do pół Europy, jak utrzymują ich politycy, czy też tylko do dziesięciu wsi jak utrzymują ich przeciwnicy — to jest dla nas obojętne. Faktem jest, że przed wojną nikt nie wiedział o Litwie jako o pojęciu

politycznym. Jedynym reprezentantem Litwy był „litwak” żyd litewski. Żyd ten stał u kolebki nowego państwa. Nasi ludzie Rachmilewiczowie, Bruchusowie i Rozenbaumowie ujęli włościanina litewskiego za rękę i pokazali mu, do jakich drzwi należy pukać i jak się rozmawia z mężem stanu. Stali z nim we wszystkich kwaterach i w końcu przyprowadzili go z powrotem do domu jako pana na swej ziemi”.

I dalej:

„Początkowo chłop litewski był wdzięczny. W Litwie mieliśmy pierwsze ministerstwo żydowskie. Litwa pretendowała do wszystkich pisarzy żydowskich do wszystkich „litwaków”, uważając ich za swych obywateli, za swe tułaczki dzieci. Ta sielanka jednak nie długo trwała. Do władzy przychodzi kler i w tej chwili znika ministerstwo żydowskie i autonomia żydowska.

Nie dość na tem. Mała Litwa chce być dużą, więc zadziera z całym światem; Litwa chce być wielką więc bije Żydów”.

Pozostawiając na stronie kwestję ekscesów antysemitycznych w Kownie, co do których nie mamy dokładnych informacji, musimy zaznaczyć, że autor, który zawsze siedział tylko w Lublinie i Warszawian Litwy ani Litwinów zupełnie nie zna. Może w Warszawie znali tylko Żyda „litwaka”, może p. Stupnicki nie słyszał przed wojną o kwestji litewskiej. My tutaj z tą kwestją oddawna mamy do czynienia i śmieszna przesadą jest twierdzenie, że tylko dzięki pomocy Żydów powstało niepodległe państwo litewskie.

J. H.

Wydawnictwa nadesłane do Redakcji.

Mapy rozszedlenia ludności polskiej i litewskiej na terenie Republiki Litewskiej i na obszarach północno-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Nakładem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. Warszawa. 1929.

Ocenę tych map zamieścimy w numerze następnym. (Red.)

Wspomnienia sprawozdawcy sejmowego o klubie białoruskim.

W „Naszym Przeglądzie” sprawozdawca sejmowy tego pisma p. B. Zynger z okazji dziesięciolecia Sejmu warszawskiego, zamieszcza pobieżnie i dość powierzchownie, ale żywo i barwnie skreślone charakterystyki rozmaitych ugrupowań z tego okresu (pod ogólnym tytułem: „Od Witosa do Ślawka”. W jednym z ostatnich numerów znajdujemy szkicowo potraktowaną, niedokładną w wielu szczegółach, ale interesującą sylwetkę klubu białoruskiego, a właściwie raczej jednego z byłych jego przywódców posła Taraszkiewicza.

Miała to być wiosna ludów w Sejmie. W sali sejmowej ukazali się zbratani ze sobą Żydzi, Niemcy, Ukraińcy, Białorusini. W towarzystwie tym znalazł się nawet Rosjanin — Seriebrianników. W pierwszej chwili zdawało się, że stanowią nierozzerwalny łańcuch orkiestrę jednolitą. Dyrygentem zespołu był poseł, Izaak Grynbaum.

Stoi poseł Grynbaum w kuluarach sejmowych i rozważa taktykę wyborów w Zgromadzeniu Narodowym. A dokoła sędziwy pop, stary kadet senator ojciec Damjan, sędziwy kanonik niemiecki poseł ksiądz Klinke, młody ksiądz białoruski Stankiewicz, rabin Agudy Lewin. U boku socjaldemokrata ukraiński Wasynczuk, tuż ziemianin niemiecki Nauman, eserowcy białoruscy, działacz cerkiewny, senator Bohdanowicz i trzech socjaliści niemieccy.

Szuka poseł Grynbaum kontaktu z lewicą, chce zaprząć blok do wspólnego rydwanu walki z endecją. Omija lewica skwapliwie „groźnego ojca” bloku, a niemieccy posłowie i senatorowie rozglądają się w nowym parlamencie. Czują się tu obco. Choć zasiadali w pierwszym sejmie, nie nawiązali jednak Niemcy kontaktu z nikim.

Nikt nie znał posłów ukraińskich z Wołynia. Nowicjuszami byli posłowie białoruscy Rohula, Kochanowicz, Jeremicz.

W kłopotliwej sytuacji był senator Kasprowicz, czuł się nieswojo b. wyższy urzędnik rosyjskiego ministerstwa komunikacji i nie wiedział czy wypada należeć do „mniejszości narodowej.”

W tej całej gromadzie zaklimatyzował się natychmiast poseł Taraszkiewicz. Miał odrazu znajomych, przyjaciół, druhów. Witali go posłowie z lewicy, przedstawiciele rządu, oficerowie.

Na niego to nastawiła lewica sidła w pierwszej chwili. Wprawdzie uchodził za Białorusina, lecz był katolikiem. Zresztą narodowość białoruską uważano za wymysł rewolucji 1905 roku. Operowała lewica tym terminem jedynie dla celów politycznych.

Ale Taraszkiewicza uważano za swego człowieka, który się zabłąkał przypadkowo w „bloku”. Jeszcze w uniwersytecie petersburskim walczył o niepodległość Polski. W Krakowie był korepetytorem w domach polskich, na Wileńszczyźnie uczył polskiego w zrusyfikowanych dworach ziemiaństwa.

Toć niedawno kierował ruchem białoruskim przeciwko Sowietaom, miał wolny dostęp do Belwederu, łączyły go węzły z Prystorem.

Wierzył, że jedynie Polska wyzwoli Białoruś, był kierownikiem departamentu białoruskiego w Litwie Środkowej.*)

Witają go posłowie Kościółkowski, Chomiński. Konferuje poseł Thugut. Wyciągają dłonie piłsudczy-cy—legjoniści. Wzrusza się poseł Taraszkiewicz, opuszcza na chwilę towarzyszy i siedzi przy stole Wyzwolenia. Któż wie? Czyż dawni towarzysze nie dopomogą w walce o autonomję, o szkołę białoruską?

Przemawia z trybuny sejmowej. Pyta o odpowiednik polski do jakiegoś słowa białoruskiego. Śmieje się poseł Chomiński.— Udaje. Zna jucha lepiej polski, niż wielu kresowców.

Oklaskują go wyzwolenicy, pepesowcy. Swój człowiek. Hasła polskie. Domaga się federacji Białorusi z Polską. Mówi o szkole białoruskiej, o reformie rolnej. Ma program maksimum, ale gotów jest przedłożyć program minimum. Gotów jest poprzeć rząd Sikorskiego za odrobinę ustępstw, za sieć szkół powszechnych z językiem białoruskim. Ugoda w całej pełni. W kuluarach krążą pogłoski, że zostanie podsekretarzem stanu do spraw mniejszości narodowych.

Szybko prysnęło wszystko. Sen o podsekretarstwie stanu, o szkolnictwie, o reformie rolnej. Zawiódł nawet stary druh Kościółkowski, ominął szef rządu in spe poseł Thugut, a ze wsi białoruskiej dochodziły wieści, że ziemia się pali pod stopami, że nie o szkołę chodzi.

Wszedł Thugut do rządu Grabskiego, opuścił parlament Taraszkiewicz i poszedł do okręgu. (?)

Spotkali się po czasie w kuluarach. Chciał poseł Thugut wciągnąć posła Taraszkiewicza do ko-

* Takiego departamentu nie było. Taraszkiewicz był jedynie referentem szkolnictwa białoruskiego w departamencie oświaty. (Przyp. Red.)

misji rzeczoznawców, lecz odmówił stanowczo. Wszystko się urwało.

W kuluarach nie poznawano Taraszkiewicza. Zmienił się nawet głos i wygląd. Niegdyś blady o różowych policzkach i tenorowym głose, ubrany dość wytwornie, teraz ogorzały, o basowym głosie, w kurtce i butach przebywał w towarzystwie skrajnej lewicy.

Kiwali smętnie dawni towarzysze i druhowie, że odszedł od nich hen daleko poseł Taraszkiewicz.

Spotkali się później na sali sądowej. On za barjerą w towarzystwie młodziutkiego(?) Raka-Michajłowskiego i posła Miotły. Tak niedawno miał zostać podsekretarzem stanu, a tu za barjerą mówi demonstracyjnie po białorusku. Przewodzi gromadzie oskarżonych, chłopom w butach, a częściej jeszcze w łapciach. Kręcili się w urzędach dawni przyjaciele, chcieli coś wskórać, wyprosić dla pana Bronisława, lecz musieli poniechać. Odszedł za daleko. Interwencja kompromituje.

W kuluarach sejmowych zastąpił go poseł Jeremicz. Groził cieniem Hromady i szukał ugody, prosił o szkołę białoruską. A gromadka białoruska rozpierzchała się coraz więcej. Część za kratkami więziennymi, część w Mińsku i niedobitki w bufecie sejmowym..

Do trzeciego sejmu weszli w małej liczbie.

Bibliografia.

Wołłejko Leon. *Kłopoty Oszmiańczuka*. Monologi „tutejsze” №№ 1—10. Nakładem K. Lewkowicza. Wilno. [1929].

P. L. Wołłejko utalentowany artysta dramatyczny, o wybitnej indywidualności, jedyna bodaj siła naprawdę miejscowa w zespole teatrów wileńskich, wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł napisania i wygłoszenia za pomocą radjostacji wileńskiej szeregu monologów w gwarze „tutejszej”.

Treść tych monologów nie jest zbyt bogata ani urozmaicona. Ot poprostu Wincuk z pod Żupran opowiada o swych kłopotach gospodarskich, o wypadkach rodzinnych, o stosunkach sąsiedzkich, przedstawiając w ten sposób całokształt życia przeciętnego tutejszego wieśniaka. Główna wartość monologów polega na ich formie, na specyficznym języku „tutejszym”, który p. Wołłejko zna doskonale i który po raz pierwszy bodaj doczekał się tego zaszczytu, że został uwieczniony drukiem.

Oczywiście, monologi zyskują wiele w świetnej interpretacji p. Wołłejki, gdyż odpowiedni akcent i pronuncjacja stanowią najbardziej charakterystyczną cechę gwary „tutejszej”. Dużo więc stracili ci, którzy nie słyszeli p. Wołłejki przez radio. Ale dobrze zrobił autor, że nie poprzestał na wygłoszeniu swych produkcji i że ogłosił je drukiem. Umiejętne odczytywanie ich na głos nieraz jeszcze może sprawić rzetelną uciechę słuchaczom.

Ateneum Wileńskie. Czasopismo naukowe, poświęcone badaniom przeszłości ziem W. X. Litewskiego. Rok V. Zeszyt 15. Wilno. 1928.

Z wielkim opóźnieniem, bo dopiero w zeszłym miesiącu b. r., ukazał się zeszyt piętnasty tego cennego czasopisma. Odbitki z niektórych artykułów, jak St. Kościółkowskiego „Z literatury polemicno-sądowej XVIII w.” oraz P. Kona „Odnaleziona część archiwum dawnego Kahału Wileńskiego” były już

w obiegu przed kilku miesiącami i w swoim czasie zostały zanotowane w naszym piśmie. Powodem tak znacznej zwłoki jest zapewne przeniesienie się do tychczasowego redaktora „Ateneum Wil.” prof. Chodynickiego do Poznania.

Tej okoliczności też zapewne przypisać należy, że treść ostatniego zeszytu jest mniej ciekawa, niż zazwyczaj. Prócz obszernego studjum prof. Kościółkowskiego, o którym już zdawaliśmy sprawę, tudzież gruntownej jak zawsze rozprawy prof. Chodynickiego „Geneza i rozwój podania o zabójstwie Zygmunta Kiejstutowicza” zeszyt zawiera jeszcze rozwlekłą pracę Z Skopińskiej o traktacie litewsko-moskiewskim z r. 1449, trochę „miscellaneów”, kilka recenzji oraz szczegółowe sprawozdanie z uroczystego posiedzenia dla uczczenia zasług ś. p. dr. L. Czarkowskiego.

Niektóre uwagi prof. Chodynickiego, zawarte w jego recenzji z pracy W. Charkiewicza o Placydzie Jankowskim nasuwają chętkę do polemiki, na którą sobie pozwolimy przy innej sposobności.

a.

Nieodpowiedni podręcznik.

Centr. Zarząd Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury nadsyła nam z prośbą o umieszczenie poniższy wyciąg z protokołu swego posiedzenia:

„Zarząd Centralny Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury na swem posiedzeniu dnia 31.VII. 1929 r. po rozpatrzeniu sprawy zarządzenia władz szkolnych o wprowadzeniu do szkół białoruskich Elementarza Stanisława Lubicz Majewskiego wydanego we Lwowie w 1929 r. nakładem Państwowego Wydawnictwa podręczników szkolnych — stwierdza co następuje:

1. Elementarz L.-Majewskiego odbiega daleko od ogólnie przyjętych naukowych zasad białoruskiej gramatyki i pisowni;

2. nie uznaje białoruskiego abecadła, wprowadzając między innymi polskie „cz” i „sz” zamiast ogólnie przyjętych „č” i „š” i wyrzucając litery „f” i „g”, używane w słowach międzynarodowych;

3. elementarz L.-Majewskiego kaleczy w znacznym stopniu język białoruski, używając często polonizmów i rusycyzmów, a także żywcem wprowadzając rosyjskie i polskie słowa;

4. przekreśla gramatyczne i odnoszące się do pisowni zdobycze białoruskiej filologii i temsamem cofa sprawę nauczania języka białoruskiego na kilka dziesiątków lat wstecz, wyrządzając tem wielką krzywdę językowi białoruskiemu i kulturze;

5. wreszcie elementarz L.-Majewskiego przeponony jest duchem niebiałoruskim, bo w treści i rysunkach pokazuje dzieciom białoruskim Warszawę, Wisłę, Karpaty, Wawel i Kraków, a pomija historyczne i kulturalne ośrodki naszego kraju.

Z tych przyczyn Z. C. B. I. H. i K., podając wszystko wyżej powiedziane do wiadomości społeczeństwa i odpowiednich władz szkolnych, niebieszem protestuje przeciwko rozporządzeniu o wprowadzeniu Elementarza L.-Majewskiego do szkół białoruskich, jako szkodliwego dla oświaty białoruskiej”.

KRONIKA.

Niepotrzebna kompromitacja. W związku z poruszoną w kowieńskiej prasie kwestją ekshumacji zwłok W. Ks. Witolda i złożenia ich w srebrnej trumnie, ewentualnie wywiezienia do Kowna, „Słowo” wystąpiło z energicznym protestem przeciwko tym zamiarom. „Prochy W. Ks. Witolda są własnością sukcesorów W. Ks. Litewskiego, a prawa do tej sukcesji myśmy się nie rzekli i nie rzekniemy się nigdy”—zapewnia z emfazą p. m. w „Słowie”.

Bardzo pięknie! Są to jednak tylko słowa, a gdzież czyny? Jeżeli organ imperjalizmu polskiego istotnie żywi taki pietyzm dla szczątków bohatera litewskiego, to czemuż nie pomyśli o odpowiednim ich uczczeniu? Wszakże za rok mniej więcej przypada 500-na rocznica zgonu W. Ks. Witolda. Społeczeństwo litewskie wyłoniło już oddawna komitet jubileuszowy, który krząta się gorliwie, by obchód rocznicy zorganizować jak można najwspanialej. A cóż uczynili w tym kierunku sukcesorzy W. Ks. Litewskiego narodowości polskiej? Czy ktośkolwiek z nich wystąpił z inicjatywą urządzenia również uroczystego obchodu? Czy kapituła wileńska pomyślała o hojnym fundatorze katedry? Czy poczyniono jakie kroki, by zbadać i ustalić przynajmniej, w którym miejscu spoczywają prochy Wielkiego Księcia i w jakim stanie się znajdują?

Elementarna przyzwoitość nakazuje spadkobiercom dużej fortuny odpowiednio uczcić pamięć swego dobroczyńcy. Gdy się tego obowiązku zaniedbuje, lepiej głośno nie manifestować swych praw do sukcesji. Poczóż niepotrzebnie się kompromitować?

Od łyżeczki do rzemyczki. W dobie współczesnego etalizmu dążenie państwa do zmonopolizowania w swem ręku wszelkich gałęzi życia gospodarczego jest zjawiskiem naturalnym. Mamy więc monopole wódczane, tytuńowe, zapalczane, kolejowy, ma być podobno niebawem wprowadzony monopol autobusowy. Nie zdziwilibyśmy się zbytnio, gdyby powstał monopol zbożowy, papierniczy, węglowy i t. d. Po opanowaniu całej dziedziny ekonomicznej przyszłaby kolej na politykę i oświatę. Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego, gdyby rząd rozciągnął swój monopol na prasę i szkolnictwo. Jedynie brak pieniędzy stoi temu na przeszkodzie. Ale monopol kulturalny — to jest już całkiem coś nowego. A jednakże i na to musimy być przygotowani.

Czyż nie jest bowiem pierwszym krokiem w tym kierunku udzielenie przez władze wojewódzkie koncesji na prowadzenie teatru polskiego wyłącznie zespołowi Zelwerowicza i odebranie jej drugiemu teatrowi, który od szeregu lat funkcjonował w „Lutni” pod dyr. p. Rychłowskiego? Rząd uważa, że dwa teatry polskie dla Wilna to zbytek niepotrzebny, że drugi teatr robi szkodliwą konkurencję pierwszemu, który jest przezeń i przez miasto subsydjowany i, korzystając z przysługujących mu uprawnień, obdarza przywilejem wyłączności oczywiście to przedsiębiorstwo teatralne, które jest bardziej od niego uzależnione.

Publiczność wileńska ma chodzić tylko na te sztuki, które władze uważają za odpowiednie dla niej a bynajmniej nie kierować się własnymi upodobaniami! Maluczko, a księgarnie zaczęła sprzedawać tylko te książki, które uzyskają aprobatę referenta wojewódzkiego.

Konfiskaty. Konfiskaty sypią się wciąż jak z rogu obfitości. Konfiskowane są pisma białoruskie, litewskie, rosyjskie, nie wyłączając polskich, „Dziennik Wil.”, który jeszcze tak niedawno rozdawał patenty na prawomyślność i sarkat na zbytnią tolerancję władz, dziś mocno spuścił z tonu, gdy doświadczył na swej skórze, jak jest rozciągliwym pojęciem lojalności państwowej. Dzieje się tak nie tylko u nas. W Warszawie pisma o, o, zycyjne również ulegają częstym konfiskatom. Gdy jednak tam sądy bardzo często kasują zarządzenia administracyjne, — w Wilnie sąd z reguły zatwierdza wszystkie konfiskaty. Zdaje się, że raz tylko, czy dwa razy sąd nie podzielił zapatrywań starosty grodzkiego. Nie potrzebujemy nadmieniać, że oczywiście chodziło o konfiskatę pism polskich.

Upośledzenie. Z powodu częstych wypadków z robotnikami pracującymi przy tynkowaniu i malowaniu kamienic wileńskich jeden z naszych czytelników zwraca uwagę, że katastrofy te wynikają wskutek używania t. zw. kolysek, które są wzbronione surowo na całym obszarze państwa, a wiadomo czemu tolerowane w jednym Wilnie. Dziwna rzecz, że przepisy istotnie racjonalne i rozumne nie są u nas przestrzegane skrupulatnie, natomiast, gdy chodzi o jakieś zarządzenie niezrozumiałe i błahe, lecz dokuczliwe, jest ono wykonywane z całą ścisłością formalistycznej biurokratycznej. Najlepszym dowodem tego jest nakaz bielienia domów po wsiach, który, mimo jedynomyślnego sprzeciwu całego miejscowego

społeczeństwa, jest stosowany przez policję z niezwykłą gorliwością, tak, jakby od niego zależały losy państwa.

W dodatku zaznaczyć należy, że nakaz powyższy nie obowiązuje ani w Wielkopolsce ani na Podhalu, gdzie smarowanie wapnem domów w stylu zakopiańskim uznane zostało widocznie za barbarzyństwo. Ale na nasze przywiązanie do odwiecznego wyglądu wioski białorusko-litewskiej ktoby tam zwracał uwagę, ktoby się z niem liczył! Na każdym kroku — lekceważenie i bezwzględność.

Dosadne określenie. P. Cat w „Słowie” temi wyrazami określa swój stosunek do reformy rolnej: „Najsmutniejsza cecha Polaka, że najszlachetniejsze indywiduum nie może się odplątać od popełniania różnych plugawstw. Jakże plugawo jest często to, co Polacy czynią. Inteligencja polska w czasie wielkiej wojny — ileż heroizmu! A potem jakże plugawo jest ten stosunek naszej inteligencji do t. zw. reformy rolnej. Dla naiwnych marzeń o karierze pa. owania nad ludem polskim poszło się na schlebianie ekonomicznie naiwnym a moralnie plugawym instynktom tego ludu, wyrażonym w tak zwanym programie reformy rolnej!”

Minister Staniewicz powinien teraz poważnie się zastanowić, czy mu wypada stać na czele resortu, tak spocznowanego publicznie przez przedstawiciela obozu rządowego? Boć jeżeli reforma rolna jest plugawstwem, to czym jest ministerstwo, powołane do jej realizacji?

KONKURS

na sztukę dla Teatrów Ludowych.

Towarzystwo Polskiego Teatru Ludowego w Wilnie, dążąc do rozwoju miejscowej twórczości dramatycznej i zasilenia repertuaru Teatrów Ludowych sztukami nowymi, ogłasza niniejszem konkurs na sztukę do użytku Teatrów Ludowych — amatorskich — na wsi i w mieście.

Warunki konkursu są następujące:

1) Sztuka może zawierać jeden, dwa lub trzy akty. Uwzględniane przytem być muszą trudności wystawy na wsi pod względem dekoracji i kostiumów.

2) Utwory mogą mieć treść dowolną (historyczną, obyczajową i t. p.) zawsze jednak o szlachetnej tendencji. Pierwszeństwo mieć będą sztuki odnoszące się do przeszłości lub teraźniejszości Wileńszczyzny, Grodzieńszczyzny i Nowogródziny.

3) Rękopis musi być pisany na maszynie lub bardzo czytelnym pismem.

4. Rękopis winien być podpisany pseudonimem. Nazwisko zaś i adres autora mają być przesłane w zapieczętowanej kopercie zaopatrzonej pseudonimem.

Termin składania rękopisów, (pod adresem Polskiego Teatru Ludowego w Wilnie, Zawalna 16 m. 3) upływa dn. 15 października 1929 r.

Za najlepsze nadesłane utwory przewidziane są trzy nagrody: I—300 zł., II—200 zł., III—100 zł. Skład sądu konkursowego będzie w swoim czasie ogłoszony.

Sztuki nagrodzone stają się własnością Towarzystwa Polskiego Teatru Ludowego w Wilnie.

Towarzystwo Polskiego Teatru Ludowego w Wilnie zastrzega sobie prawo nabycia od autorów kilku sztuk nienagrodzonych, lecz wyróżnionych przez sąd konkursowy.

Prezes Towarzystwa:

Zygmunt Nagrodzki.

Sekretarz:

Jan Ambroziak.

